Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

S. ŁUKASIEWICZ — Z Czemięcic do Warszawy. W. MACHEJEK — Zrzut.
M. JANION — Problem ludowości romantycznej.
S. MARCZAK-OBORSKI — Teatr Polski w walce o pokój i Plan 6-letni.
S. CIEŚLAK — Sojusz z robotnikiem. W kręgu listów chłopskich.
H. KIRCHNER — Sprawy krytyki i krytyków.
G. TIMOFIEJEW — O małej formie prozatorskiej. J. SPINC — Co czyta wieś radziecka?
E. SAS — O „glinianych" i „żelaznych" górnikach. A. KACZOCHA — Kontraktacja

Rok IX

Warszawa, dn. 27. I. 1952 r.

Nr. 4 (338)

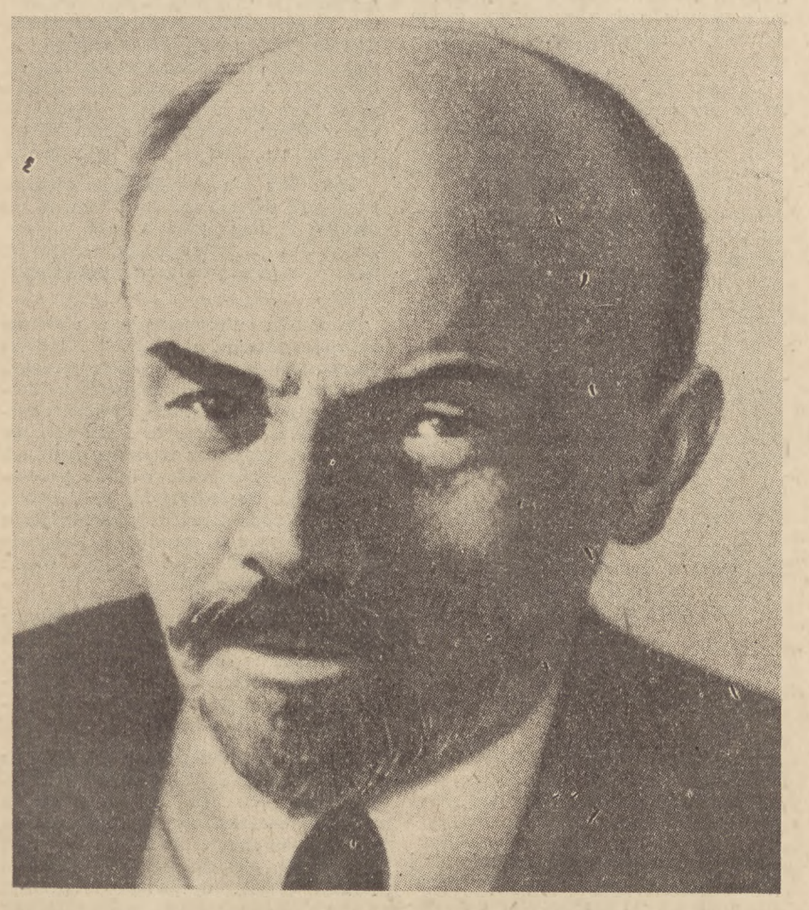

Geniusz Rewolucji

LENIN był zrodzony dla rewolucji. Był on zaiste geniuszem wybuchów rewolucyjnych i niezrównanym mistrzem rewolucyjnego kierownictwa. Nigdy nie czuł się tak swobodnie i radośnie jak w okresie wstrząsów rewolucyjnych. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że Lenin jednakowo pochwalał każdy wstrząs rewolucyjny lub że zawsze i we wszelkich warunkach był za wybuchami rewolucyjnymi. Bynajmniej. Chcę przez to jedynie powiedzieć, że nigdy genialna zdolność przewidywania, właściwa Leninowi, nie przejawiała się w sposób tak doskonały i tak dobitnie, jak w czasie wybuchów rewolucyjnych. W czasie przełomów rewolucyjnych dosłownie rozkwitał, stawał się jasnowidzący, przewidywał ruchy klas i prawdopodobne zygzaki rewolucji, widział to wszystko jak na dłoni. Nie darmo powiadają w naszych kołach partyjnych, że „Iljicz umie pływać na falach rewolucji jak ryba w wodzie".

Stąd „uderzająca" jasność haseł taktycznych i „zawrotna" śmiałość rewolucyjnych planów Lenina...

...Genialna zdolność przewidywania, dar szybkiego orientowania się i pojmowania wewnętrznej istoty zbliżających się wydarzeń — oto ta właśnie cecha szczególna Lenina, która dopomagała mu w określeniu właściwej strategii i wytknięciu jasnej linii postępowania w przełomowych chwilach ruchu rewolucyjnego. **J. W. STALIN**

*) „O Leninie" (1924 r.)

Lenin — Twórca Partii

TWORZENIE partii proletariackiej w Rosji odbywało się w szczególnych warunkach, różniących się od warunków na Zachodzie w chwili organizowania tam partii robotniczej. Podczas gdy na Zachodzie, we Francji, w Niemczech, partia robotnicza wyłoniła się ze związków zawodowych w warunkach legalnego istnienia związków i partii, w sytuacji, jaka się wytworzyła po rewolucji burżuazyjnej, w warunkach istnienia parlamentu burżuazyjnego, kiedy burżuazja, dorwawszy się do władzy, stanęła oko w oko z proletariatem — w Rosji, wręcz przeciwnie, tworzenie partii proletariackiej dokonywało się w warunkach najokrutniejszego absolutyzmu, w oczekiwaniu rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, kiedy z jednej strony burżuazyjne — legalno-marksistowskie elementy, pragnące wykorzystać klasę robotniczą dla rewolucji burżuazyjnej, zalewały organizacje partyjne, z drugiej zaś strony — żandarmeria carska wyrywała z szeregów partii najlepszych pracowników partyjnych, podczas gdy narastanie żywiołowego ruchu rewolucyjnego wymagało istnienia niezłomnego, zwartego i odpowiednio zakonspirowanego, bojowego trzonu rewolucjonistów, który mógłby skierować ruch ku obaleniu absolutyzmu.

Zadanie polegało na tym, aby oddzielić owce od koźląt, odgrodzić się od elementów obcych, zorganizować kadry doświadczonych rewolucjonistów w terenie, dać im jasny program i niezłomną taktykę, wreszcie skupić te kadry w jedną bojową organizację zawodowych rewolucjonistów, dostatecznie zakonspirowaną, by ostać się w walce przeciwko napadom żandarmerii, a zarazem dostatecznie związaną z masami, by je w odpowiedniej chwili poprowadzić do walki.

Mieńszewicy, ci sami, którzy — „leżą"—na stanowisku marksistowskim, rozwiązywali to zagadnienie prosto: wobec tego, że na Zachodzie partia robotnicza wyłoniła się z bezpartyjnych związków zawodowych, walczących o polepszenie stanu ekonomicznego klasy robotniczej, to należy w miarę możności uczynić w Rosji to samo, tj. ograniczyć się na razie do „walki ekonomicznej robotników z przedsiębiorcami i rządem" w zakresie miejscowym, nie tworząc ogólnorosyjskiej organizacji bojowej, a później... później, o ile do tego czasu nie powstaną związki zawodowe, zwołać bezpartyjny zjazd robotniczy i ogłosić go partią.

Że ten „marksistowski" „plan" mieńszewików, utopijny w warunkach rosyjskich, wymaga bądź co bądź szerokiej pracy agitacyjnej, skierowanej ku obniżeniu idei partyjności, zniszczeniu kadr partyjnych, pozostawieniu proletariatu bez własnej partii i oddaniu klasy robotniczej na żer liberałom — tego wówczas mieńszewicy, a nawet i wielu spośród bolszewików bodaj czy się domyślali.

Olbrzymia zasługa Lenina wobec proletariatu rosyjskiego i jego partii polega na tym, że ujawnił on całe niebezpieczeństwo mieńszewickiego „planu" organizacyjnego jeszcze wówczas, kiedy „plan" znajdował się zaledwie w zaczątku, kiedy sami autorzy „planu" z wielkim trudem mogli sobie jasno uprzytomnić jego zarysy, a ujawniwszy, rozpoczął zaciekły atak przeciw organizacyjnemu rozluźnieniu mieńszewików, skupiając całą uwagę praktyków na tym zagadnieniu. Chodziło bowiem o istnienie partii, o życie lub śmierć partii.

Stworzyć ogólnorosyjską gazetę polityczną jako środek skupienia sił partyjnych, zorganizować niezłomne kadry partyjne w terenie jako „regularne oddziały" partii, zebrać te kadry w jedną całość przy pomocy gazety i zespolić je w ogólnorosyjską partię bojową z wyraźnie zaznaczonymi granicami, z jasnym programem, nieugiętą taktyką, jedną wolą — oto jaki plan rozwinął Lenin w swych słynnych dziełach „Co robić"?, „Krok naprzód, dwa kroki wstecz". Doniosłość tego planu polegała na tym, że odpowiadał on całkowicie rosyjskiej rzeczywistości i po mistrzowsku uogólniał doświadczenia organizacyjne najlepszych praktyków. W walce o ten plan większość praktyków rosyjskich zdecydowanie poszła za Leninem, nie cofając się przed rozłamem. Zwycięstwo tego planu założyło podwaliny tej zwartej i pełnej hartu partii komunistycznej, która nie ma sobie równej na świecie.....

J. W. STALIN

*) „Lenin jako organizator i wódz RKP" — 1020 r.

DŻAMBUŁ DŻABAJEW

DŻAMBUŁ SŁUCHA LENINA

Słyszę głos Twój, Leninie
Jakby we mnie się zrodził...
Bystro, czysto on płynie,
Podobien żywej wodzie...

Nieszczęsnym dałeś dobrą dolę,
Spokój odjąłeś wrogom.
Północ, południe, zachód, wschód
Wypełnione na wieki Tobą!

Tyś — człowieczeństwa głosem,
Świat mówiący — to Ty,
Olbrzyma - sędzi — Tyś głosem,
Wielki Lenin-batyr!

Jak światło dnia co nastąpił
I mroźną spędza mgłę,
Twój głos w najdalszym kątku
Z pieszczotą szuka mnie.
Tyś ludzkie serca zziębnięte,
Niby małe ptaszęta,
Ciepłym swym tchnieniem ogrzał,
A pasibrzuchom królom
Z duszą co w mroku nudy śpi,
Z pyskiem opasłych upiorów
Pijawkom ludzkiej krwi,
Tyś, witeź, rozum odjął
Ręce związał, obalił, —
Ubogich z upadku dźwignął
Prostą a silną dłonią!
Pracującego ludu synom
W ich mocne ręce wodze dał,
A karawanom w pochód skinął
Gdzie ściany groźnych skał,
Rozstawił siły walczących,
Synom nakazy wydał
Nie bać się burz idących.
Spotkania z wrogiem szukał!
Tyś — rozum i wola milionów,
Przyjaciel tych mnogich mas,
Co rozżarzone wiązką gromów
Zjednoczyły się wraz, —
Ty nieugięcie dążysz w dal
I potężnieje w tobie moc,
Rozum ludzkości!
Tyś — Lenin — Wódz!

Rozgniewany rozum — twórca,
Mózg promienisty — batyr,
Myśl pełna dobroci, jak ojciec
Wszystkiego czym piękny świat ten!

Czyś nie Ty rozciął mgieł tumany?
I chaos w ład ułożył,
Zaświecił zorzę życiem rozedrganą
I bożka losu ukorzył?
W umyśle wciąż wyżej się rwącym
Falę za falą wzniecałeś,
Myśli oceanem się stałeś,
Stargałeś więzów tysiące,
I wciąż promieniejąc rosłeś,
Jaśniejszym wciąż świtem budziłeś,
Póki dla żywych ludzi
Nie wstałeś jak żywe słońce!
I tchnąłeś w niewolników
Świadomość wolnych ludzi,
Powiodłeś na bestie dzikie
Co się karmiły krwią ludzi.
Twój sztandar dla nas — niebem!
Twój sztandar dla nas to — krew!
Tyś naszym sercem — Leninie,
Miłości wiernej Tyś zew!
Tyś — wzorem i wiecznym przykładem
Dla wszystkich co patrzeć umieją,
Tyś — serc milionowym żarem
Co równo płonąć umieją...
W ogromnych oddziałach roboczych,
W kołchozów stepowych rozkwicie,
Z tobą, dla Ciebie, o Tobie
Śpiewać, pracować, prząść życie.
Teraz sercu znajomy
Dróg naszych bojowy bieg,
Teraz na sercu oddanym
Najmilszy order legł.

Swobodne życie — ulga, szczęście!
Pola syte są wody,
Owocem ciężkim na gałęziach
Kołyszą się w wietrze sady...
A Lenin spoczywa w mauzoleum...
Lenin — idące życie!
Lenina strzeże w sercu swoim
Stalin — mój nauczyciel!

Przełożył STEFAN FLUKOWSKI

PROJEKT Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

będzie ogłoszony 27 bm. w celu przeprowadzenia ogólnonarodowej dyskusji

Dnia 23 stycznia br. odbyło się pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej trzecie posiedzenie plenarne Komisji Konstytucyjnej.

Porządek dzienny obrad obejmował 2 punkty:

1) wniosek Podkomisji Redakcyjnej i Zagadnień Ogólnych w sprawie uchwalenia projektu Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej,

2) ustalenie terminu i trybu zgłaszania przez obywateli wniosków, poprawek i uwag w toku ogólnonarodowej dyskusji nad projektem Konstytucji.

Wnioski Podkomisji Redakcyjnej i Zagadnień Ogólnych do punktu 1 porządku dziennego referował członek Komisji Konstytucyjnej prof. dr St. Rozmaryn.

W dyskusji nad wnioskami zabierali głos członkowie Komisji Konstytucyjnej.

Komisja uchwaliła jednomyślnie projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, który zgodnie z Ustawą Konstytucyjną z 26 maja 1951 r. ogłoszony będzie w celu przeprowadzenia ogólnonarodowej dyskusji.

W punkcie drugim porządku dziennego projekt Uchwały Komisji Konstytucyjnej w sprawie ogólnonarodowej dyskusji nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej referował członek Komisji Konstytucyjnej poseł E. Ochab.

Komisja Konstytucyjna przyjęła uchwałę jednomyślnie.

Zamykając pierwszy etap prac Komisji Konstytucyjnej przewodniczący Komisji Konstytucyjnej Prezydent RP nakreślił dalsze zadania Komisji Konstytucyjnej w toku dyskusji ogólnonarodowej.

Projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ogłoszony będzie wraz z Uchwałą Komisji Konstytucyjnej w dniu 27 stycznia br.

STANISŁAW ARNOLD

„Co najbardziej było w narodzie cenne..."

POCZĄTEK bieżącego roku stanowi ważny etap w rozwoju historycznej nauki polskiej: w dniach od 28 grudnia 1951 do 12 stycznia br. odbyła się w Otwocku pierwsza metodologiczna konferencja historyków polskich, która skupiła ponad 170 historyków i była poświęcona omówieniu najważniejszych, węzłowych zagadnień historii Polski.

Konferencja ta, na której wygłoszono szereg referatów, ustalających metodologiczne podstawy badań polskiego procesu historycznego w oparciu o teoretyczne i ideologiczne założenia marksizmu-leninizmu, ma wielkie znaczenie dla naszych badań historycznych. Stwierdziła ona, że historycy polscy coraz głębiej, coraz ściślej opanowują metodologię marksistowską, że — co więcej — umieją ją stosować dla należytego naukowego rozwiązywania konkretnych zagadnień historycznych. Stwierdziła ona, że w ustawianiu problematyki naukowej historycy nasi stoją na gruncie zadań, jakie stoją dziś przed całym narodem polskim, że włączają się w ogólnonarodowy front walki o socjalizm, o pokój, że dążą do tego, by nauka historyczna polska stała się istotnym, twórczym czynnikiem ideologicznym w przekształcaniu się narodu polskiego w naród socjalistyczny.

W dyskusjach, które wypełniły niezmiernie pracowicie dni konferencji i w których niezmiernie cenną pomoc przez aktywny udział w postaci referatów i dyskusyjnych wystąpień okazała nam delegacja historyków radzieckich z akad. B. Grekowem na czele — wyświetlono należycie podstawową problematykę polskiego procesu historycznego, wydobyto luki w nowej wiedzy historycznej, ustawiono cele i zadania, jakie stoją przed polską nauką historyczną.

Z punktu widzenia metodologicznego — zanalizowano polski proces historyczny jako proces, który przebiegał zgodnie z ogólnymi prawami rządzącymi rozwojem społeczeństw ludzkich. Oparcie się na założeniach materializmu historycznego, zastosowanie marksistowskiej metody badania, — t. j. badanie historii z punktu widzenia rozwoju sił wytwórczych, i odpowiadających im stosunków produkcyjnych, związanych z nimi walkach klasowych mas wyzyskiwanych — pozwoliło na ustalenie zasadniczych etapów w rozwoju dziejowym Polski, pozwoliło na o wiele ściślejsze postawienie zagadnienia genezy feudalizmu w Polsce, rozwoju stosunków feudalnych w Polsce — tworzenia się układu kapitalistycznego w w. XVIII i epoki kapitalizmu w w. XIX i XX. W wyniku dyskusji wydobyto szereg ważnych momentów, wskazujących na prawidłowości polskiego procesu historycznego. Jednocześnie ustalono cechy specyficzne tego procesu, wydobyto jego specyfikę jako wyraz ogólnej prawidłowości. „Ogólna zgodność z prawami rozwoju całych dziejów świata — pisał Lenin — nie wyłącza bynajmniej, lecz przeciwnie zakłada istnienie poszczególnych okresów rozwoju, które odznaczają się bądź swoistością formy, bądź swoistą kolejnością tego rozwoju." W myśl tych założeń można było stwierdzić na podstawie konkretnego materiału historycznego równoległość polskiego i rosyjskiego procesu historycznego, uderzające zbieżności w rozwoju narodu polskiego i rosyjskiego, obalić mit o „zachodzie", legendę okcydentalizmu w naszych dziejach. Specyfika polskiego procesu historycznego narzuciła konieczność dalszego, głębokiego analizowania szeregu problemów historycznych, narzuciła program dalszych badań.

Oparcie się na jedynie naukowych, marksistowskich podstawach metodologicznych, zdecydowane odrzucenie burżuazyjnego, nacjonalistycznego i kosmopolitycznego stanowiska w badaniach historycznych ustawia należycie zadania historii na obecnym etapie naszych dziejów.

Na zadania historii patrzymy z nowych pozycji — pozycji zwycięskiej rewolucji socjalistycznej w Rosji, z pozycji obalenia u nas kapitalizmu, budowy podstaw socjalizmu, tworzenia się narodu socjalistycznego.

„Marksizm — pisał Józef Stalin — to nauka o prawach rozwoju przyrody i społeczeństwa, nauka o rewolucji uciemiężonych i wyzyskiwanych mas, nauka o zwycięstwie socjalizmu we wszystkich krajach, nauka o budownictwie społeczeństwa komunistycznego". A zatem historia — to nauka o drodze historycznej, którą szły masy uciskanych, uciemiężonych bezpośrednich producentów w stale pogłębiającej się i zaostrzającej walce klasowej z wyzyskiwaczami do pełnego wyzwolenia społecznego, do rewolucji socjalistycznej.

Z nowych pozycji pokolenia, budującego socjalizm, cały proces historyczny to droga przemian w formach wyzysku i walki z nim po przez szereg formacji społeczno-ekonomicznych, to postępowa linia rozwoju od jednych formacji do następnych, to postępowa linia walki z elementami rozkładających się starych formacji (walki, cechującej całość procesu historycznego w społeczeństwach klasowych) — aż do likwidującej wyzysk człowieka przez człowieka formacji socjalistycznej.

Z tych założeń wychodząc, konferencja historyków polskich w Otwocku postawiła przed historykami wielkie zagadnienia walki klasowej chłopów w epoce feudalizmu, kształtowania się i rozwoju narodu burżuazyjnego w warunkach ucisku zewnętrznego, w warunkach walk narodowo - wyzwoleńczych i narastających przesłanek rewolucji agrarnej w w. XIX, rozwoju klasy robotniczej w w. XIX i XX i jej dojrzewania jako hegemona walki społeczno- i narodowo-wyzwoleńczej w okresie imperializmu, a zwłaszcza w okresie pasożytniczych, zdradzieckich, antynarodowych rządów burżuazji i obszarnictwa w okresie międzywojennym i walki z okupantem hitlerowskim.

Postawione zostały przed historykami porywające zadania — wydobyć z przeszłości to, co było w niej istotnie postępowe, co było istotnie cenne, co torowało drogi ku pełnemu wyzwoleniu. „Mamy wiele powodów do dumy narodowej z naszych historycznych osiągnięć — mówił Prezydent Bolesław Bierut na VI Plenum KC PZPR. — Powinniśmy umieć wydobyć z mroków historii wiele z tych osiągnięć i wiele postaci, na których talentach, ofiarnych wysiłkach, poświęceniu, bohaterstwie sami winniśmy się uczyć i uczyć naszą młodzież, ponieważ dawne klasy panujące nie pokazywały najczęściej narodowi tego, co najbardziej było w nim cenne, wartościowe, postępowe i twórcze".

Konferencja Otwocka wykazała, iż front polskiej nauki historycznej na tyle już wzrósł i okrzepł, że w budowie socjalizmu w Polsce, w kształtowaniu narodu socjalistycznego, w walce o pokój staje się poważną, aktywną i pozytywną siłą. Historycy polscy zrobili poważny krok naprzód, weszli na drogę, która ma wieść ku stworzeniu marksistowskiej, polskiej nauki historycznej.

Stanisław Arnold

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

Z CZEMIĘCIC DO WARSZAWY

(Fragment z powieści)

WIKLEWSCY wyjechali z Czemięcic razem z cofającymi się Niemcami. Co lepsze meble, ubrania, stołowiznę wywieźli gdzieś na zachód przy pomocy samochodów Wehrmachtu. Ale nie poszli z Niemcami zbyt dalcko. Zaraz po wyzwoleniu, w okresie przepływających przez Polskę tłumów jeńców obozowych i wielkich mas wojsk — widziano Wiklewskiego, dość wynędzniałego i przygnębionego w Warszawie. Był sam, gdzie się wtedy podziewała żona, nie wiedziano.

Wiklewski, odnalazłszy w Ministerstwie Rolnictwa wpływowych znajomych, dostał wreszcie administrację kilku folwarków państwowych na zachodzie. Wyjechał tam skwapliwie i zaszył się niby w haszcze.

Jego piękna żona pokazała się nagle w Warszawie. Gdzie dotąd przebywała — nikt nie wiedział. Po staremu wyglądała dobrze, świeżo, zdrowo. Tak samo była ładna, choć twarz jej kilkoma surowszymi rysami zdradzała ślady mocnych przeżyć. Przy tym zdawała się być jakaś psychicznie usamodzielniona. Była ubrana ładnie, nawet elegancko, w zruinowanym, zniszczonym mieście.

Na gruncie warszawskim młoda pani wykazała dużo przedsiębiorczości i zaradności. Po bliskiej krewnej, która zaginęła, przejęła wcale ładne, prawie niezniszczone, nawet z meblami, dwupokojowe mieszkanie w ocalałym domu. Kupiła od dawnej właścicielki, wynoszącej się do innego miasta, rozbity lokal na sklep przy Marszałkowskiej, odremontowała go, ładnie urządziła i zaczęła sprzedawać tam kosmetyki, perfumerię i różne drobiazgi toaletowe.

Po trzech miesiącach przyjęła do sklepu wspólnika. Był to elegancki, postawny pan po czterdziestce o niewiadomej przeszłości. Informował zaprzyjaźnione osoby o tej przeszłości w taki sposób, a zawsze ze śmiechem, i w żartach — że tym bardziej nikt nic o niej nie wiedział. Tryskał energią, gruntowną pewnością siebie, jakąś doraźną beztroską, i tego rodzaju wiarą w przyszłość, że cokolwiek będzie, jemu samemu nic złego się nie stanie.

Wysoki, tęgi, barczysty, opalony, nabity mocnym ciałem i zdrowiem, ubrany zawsze elegancko, najczęściej w jasną samodziałową marynarkę i świetnie zaprasowane, z cienkiego sukna spodnie, tchnący czystością, wzbudzał u wszystkich sympatię i odruchowe zaufanie.

To powodzenie u ludzi wykorzystywał pan Artur do swoich spraw handlowych.

W drugim kącie sklepu pani Lili handlował złotem i obcymi walutami, obdzierając ze skóry przeważnie dość zamożną, ale żyjącą na co już z zapasów, klientelę swojej wspólniczki, płacąc jej spory czynsz za swoje miejsce w sklepie. Miał zawsze mnóstwo pieniędzy, handlował również i poza sklepem, czym się tylko dało: materiałami ubraniowymi, ułatwiał sprzedaż przywiezionego z zachodu, najdroższego szabru — zarabiając właśnie na tych transakcjach kolosalnie, sprzedawał i kupował dary UNRR-a — jakby to postawione było gdzieś w umowie, że pomoc aliantów dla wyniszczonej wojną ludności, musi przejść przez pośrednictwo panów Arturów.

W Warszawie i poza Warszawą miał ciągle mnóstwo spraw i interesów, a ze wszystkich wyciskał pieniądze. Chociaż żył w wiecznym ruchu, w plątaninie różnych stosunków z ludźmi, prowadząc w sklepie i poza sklepem nieustanne rozmowy telefoniczne — (dlatego też po wejściu do spółki, od razu, i to z dziwną łatwością wystarał się o założenie w sklepie telefonu) — istniał w nim jakiś niewzruszony spokój; jedynie bystrzejszym obserwatorom spokój ten mógł się wydać przyczajonym skupieniem.

Pan Artur znał mnóstwo ludzi w Warszawie, utrzymywał, choć nie oficjalnie, znajomości z wieloma dość wysoko postawionymi osobami, którym niekiedy dyskretnie załatwiał te i owe sprawy.

Na to, co się działo w Polsce, miał swój określony pogląd.

Na obiedzie, w zacisznej, prywatnej knajpce, głośnej zresztą na całą dobrze sytuowaną Warszawę, gdzie w kąciku miał zarezerwowany na stałe stolik z wygodnymi fotelikami, mówił do pani Lili.

— Uśmiałem się jak nigdy w życiu. Zapracowani, ideowi ludzie, zapominający o własnych, najprostszych potrzebach... Jest, owszem, nie przeczę, grupa takich, tam bardziej na lewo... Ale i oni wnet zostaną zepchnięci, zalani geszeftami, zapaskudzeni złodziejstwami. Cała ta Polska Ludowa zostanie wkrótce rozkradziona doszczętnie — bo przecież inaczej być nie może. Nigdy nie uda się ustalić zdrowego porządku publicznego, jeśli nie jest on oparty na takich naturalnych elementach ładu, jak własność, i to wielka własność prywatna. Tę własność i tych ludzi tworzy, wysuwa do przodu, każe im jako przywódcom organizować społeczeństwo, to co jest w ogóle treścią życia — walka o byt. Inaczej następuje chaos, lipa, wielki kant. Jak się ci, którzy dostali się na wierzch, dorabiają! Jakie tam są interesy! Ha, ha, ha, to tylko ja mogę o tym wiedzieć.

Pan Artur umilkł, zamyślił się o czymś rzeczowo, poczem nalał do małego kieliszka pani Lili, oraz sobie znakomitej, złocistej, przedwojennej starki, z jakiej właśnie knajpka słynęła, na talerzyk nałożył znakomitego łososia, a kiedy wypili i po mału zagryzali — ciągnął.

— Prawdę mówiąc, myślałem, że te pepeery i te niektóre radykalne socjałki, nie są takie naiwne, takie ślepe, i to na oba oczy. Gdzie się podziała ich groźna rewolucyjność, gdzie się podziały ich dawne, ogniem i krwią tryskające hasła, od których skóra cierpła na burżujach. Jak doszli do władzy, od razu skapcanieli, porobili się safandułami, łagodniakami. Czy to już taka polska natura? — gdy pan Artur filozofował na jakiś temat, zapędzał się w dziwaczny dla słuchaczy z jego środowiska, niby obiektywizm, tak że nie zawsze wiedzieli, co on w istocie myśli i po czyjej stoi stronie.

Tak więc i pani Lila spojrzała nań z niepokojem.

— Myślą tylko o odbudowie, o różnych tych i tamtych reformach — a tu rozmaite facety na potęgę kradną, urządzają się, krewniaków i znajomków gdzie tylko mogą pchają. Urzędowo nazywa się to niby pozyskiwaniem ludzi dla współpracy! No i kogo poprzyjmowali na wysokie stanowiska, do różnych ministerstw, a nawet i do wojska — mówił teraz szeptem, — przypadkowo to ja coś niecoś o tym wiem. Jest to okoliczność sprzyjająca, bo mogli dostać się tam i porządni ludzie, aby dla nas prowadzić uczciwą robotę, i szkodzić im, że tak powiem, ideowo na każdym kroku. Ale pobrali też i wiele zamaskowanej kanalii, która z okazji minionej wojny i obecnej tej to rewolucji, głośno udaje patriotów i demokratów, a po cichu kradnie ile wlezie. Nie jeden z tych sukinsynów powinien na stryczku zawisnąć, albo i z kryminału nie wyjrzeć, a tu naraz wielkiego dyrektora udaje. Na przykład, wiesz, pan W. co to w zeszłym tygodniu kupił ode mnie pięćdziesiąt dolarów złotych, to też ładny numerek. W czasie okupacji był handlowcem, a teraz udaje polityka, bo teraz na tym można więcej zarobić.

Pan Artur miał to do siebie, że lubił głośno i wyraźnie nazwać złodziejstwo złodziejstwem, oszustwo oszustwem, a kant kantem — właśnie i z tego powodu słuchający mieli go za wybitnie uczciwego i porządnego człowieka.

— Ale to dobrze — nachylił się ku towarzyszce — prędzej się ich wysadzi z siodła. Zanosi się na to poważniej, niż się wydaje, wylecą nim się spostrzegą.

— No, mnie u mężczyzny nade wszystko imponuje siła! — powiedziała pani Lila patrząc że specjalną jakąś uwagą, poszerzonymi, fiołkowymi oczami na pana Artura. — Dla mnie mężczyzna niech sobie będzie kim chce, i niech robi co chce, aby miał jakoś po ludzku uporządkowane swoje własne życie. Mężczyzna musi być z życia zadowolony, musi być zwycięzcą, a nie cierpiętnikiem. Musi mieć ładne, dobrze urządzone mieszkanie, pod dostatkiem pieniędzy, powinien odznaczać się humorem, zdrowiem, musi, jak mówi London, sam w pełnej obfitości zjadać mięso życia, a nie oglądać się, jak to czynią inni, i filozofować nad tym żałośnie.

Pod każdym względem urządził się pan Artur w Warszawie dobrze. Miał nawet swoją własną, piękną, sportową limuzynę, ale stojącą w garażu u kogo innego, w willi pewnego przedsiębiorcy, właściciela małej fabryczki — a właściwie kilku fabryczek — które wskutek sprytnego obejścia ustawy o nacjonalizacji, w dalszym ciągu należały do niego. Fabrykant ten wyrabiał niektóre drobniejsze artykuły, niezbędne w budownictwie i akurat cieszył się pewnym poparciem kół rządowych. Pan Artur znał go jeszcze sprzed wojny.

W niedzielę, w święta wybierał się dość często z panią Lilą samochodem na dalekie przejażdżki — do Łodzi, do innych bliższych Warszawy miast.

W połowie drugiego roku istnienia spółki wprowadził się do mieszkania pani Lili, wyposażył je zaraz w komplet nowych mebli, w pokoikach pojawiły się piękne wartościowe obrazy, cenne dywany, w saloniku stanął drogi fortepian.

Do pani Lili przywiązany był pan Artur prawdziwie, smakował w jej kształtach, w jej młodym, zdrowym ciele, cenił w niej to, że nie była histeryczką, że postawę jej wobec życia cechowała jakaś męska determinacja i gotowość na wszystko — ale zbytnio zakochany w niej nie był. Zresztą nie był zdolny do głębszych uczuć. Nie był też i nadto wiernym pani Lili. Miał poza nią swoją i właśnie głębszą namiętność.

W jednym z ministerstw pracowała, raczej tylko dlatego, by nie być bez określonego zajęcia, choć później zaczęła z tytułu swojej posady oddawać panu Arturowi pewne konkretne przysługi, dwudziestoparoletnia urzędniczka, na pozór nieciekawa, nieefektowna. Gdy znajdowała się w grupie kobiet, wzrok mężczyzny prześlizgiwał się zaraz z niej na inne, ale po większej uwadze wracał ku niej i odnajdywał w niej nagłe wartości atrakcyjne. Była dość wysoka, o smukłych, kształtnych nogach i silnych, pięknie zarysowanych biodrach. Piersi, niby dwie małe, wypukłe tarcze, miała wysoko osadzone, niepokojące swą ruchliwością. O prawie czarnych, gęstych włosach odznaczała się ciemną cerą i była nieco piegowata. W tej owalnej, świeżej twarzy odcinały się z drażniącym wdziękiem spore, czerwone usta, oczy mocno niebieskie, aż błękitne, patrzyły tak, jakby każdemu chciały powiedzieć coś szczególnego.

Pan Artur czuł do tej dziewczyny, do rządzącej nią cichej, niezgłębionej, pełnej różnych niewieścich tajemnic, namiętności, nieposkromioną słabość. Przepadał za nią jako mężczyzna. Nieraz, w godzinach popołudniowych, w nawale spraw podejmował decyzję nagłego odwiedzenia dziewczyny. Zawsze była gotowa na jego przyjęcie, zawsze pojawienie się jego witała intymnym uśmieszkiem, obdarzając go potem uniesieniami, którym nie było końca.

Pani Lila nie wiedziała o niczym, trochę się dziwiła chłodowi Artura, ale sądziła, że mężczyzna w jego wieku, już dobrze po czterdziestce, przechodzi zwolna w pewną naturalną powściągliwość.

Pani Lila utrzymywała w pewnym zakresie stosunki towarzyskie z innymi paniami, damami w Warszawie, oczywiście przeważnie ze środowiska ziemiańskiego, pozbawionego reformą rolną majątków. Panie te i ich rodziny żyły bądź jeszcze z zapasów, bądź też uprawiając różnoraki handel, prowadziły małe restauracyjki, kawiarenki, gdzie gościom usługiwały młode panie z towarzystwa o atrakcyjnej powierzchowności, stanowiące niejako wabik dla świata męskiego.

Inne czy też inni pozakładali własne sklepiki, niektórzy mężczyźni z tego środowiska zajmowali, mocno się zresztą zakonspirowawszy, posady w biurach, najczęściej w Ministerstwie Rolnictwa, w Banku Rolnym.

Pani Lila nadal posiadała określone przekonania polityczne, była teraz namiętną — już nie zwolenniczką, a wprost wielbicielką Mikołajczyka i gdzie tylko mogła, na każdym kroku dawała temu wyraz — na rzecz PSL-u i Mikołajczyka uprawiała krzykliwą, a entuzjastyczną propagandę, niekiedy wpadając w iście kobiece zacietrzewienie.

Z podobnym zapałem opowiadała się za katolicyzmem, u siebie w sklepie na frontowej ścianie powiesiła spory obrazek Matki Boskiej, znajomym oświadczając z całym naciskiem, że to jest właśnie jej ulubiona patronka.

Pani Lila pomagała dyskretnie panu Arturowi również w niektórych jego specjalnych sprawach. Z okazji handlu walutami miał on kontakty z emigracją na Zachodzie, ułatwiał ludziom przez swoje znajomości zdobycie paszportów na wyjazd, pomagał trochę pieniężnie nielegalnym emisariuszom „rządu londyńskiego", następnie uczestniczył niekiedy i sam w ważnych, a zakonspirowanych rozmowach politycznych w kraju. Toteż coraz częściej mówił w zaufaniu do pani Lili, że w Polsce mogą nastąpić, i to już wkrótce, doniosłe wydarzenia i duże zmiany. Wtedy oboje ich ogarniała taka otucha i radosna wiara w przyszłość, że przenosili się do pokoiku sypialnego — gdzie czuli się najprzytulniej, i wypijali butelkę najprzedniejszego wina francuskiego, ktorego kilka flaszek pan Artur co jakiś czas przynosił do mieszkania.

Naturalnie z panią Lilą Wiklewską skontaktowany był od samego początku pojawienia się jej w stolicy, właściciel dużego sklepu, Pięścioch „warszawski", dobrze pamiętając na jakie to sumy Wiklewscy robili kiedyś zakupy w sklepie Pięściochów w Podgórzu. Sam ją odnalazł i zaofiarował się natychmiast z pomocą materialną — gdyby była potrzebna — dając wyraz z dyskretną grzecznością kupiecką przekonaniu, że na pewno znów wrócą czasy, kiedy Wiklewscy na nowo obejmą swój majątek Czemięcice, i po staremu będą szanownymi klientami Pięściochów, tak w Podgórzu, jak i w Warszawie.

Pani Lila przyjęła Pięściocha „warszawskiego" u siebie w mieszkaniu niezbyt jeszcze wtedy uporządkowanym, bardzo gościnnie, likierem, kawą, ciastkami. Pomocy nie przyjęła, gdyż nie była jej na szczęście potrzebna, podziękowała serdecznie Pięściochowi za życzliwość — i przy kawce mile sobie pogwarzyli o tym i owym, o Czemięcicach i o Podgorzu.

Pod koniec rozmowy Pięścioch nadmienił, że jeśli pani Lila chce mieć jakieś informacje o tym, co się dzieje w Czemięcicach, w Podgórzu, że gdyby chciała przekazać czasami jakieś wiadomości, polecenia, zaufanym ludziom, którzy na pewno przecież na miejscu pozostali, i może z daleka, ale bacznie majątku pilnują, aby do czasu powrotu dziedziców nie wszystko zostało zniszczone i rozkradzione — on jej to może ułatwić.

Odtąd pani Wiklewska nawiązała kontakty z niektórymi ludźmi z Czemięcic, jak na przykład z dawnym ogrodnikiem, totumfackim dziedziców, — Wisielakiem, z pewnymi osobami z okolic Podgórza i z samego miasteczka; z tych jej stosunków korzystał również i pan Artur, nadając od czasu do czasu na tamtą okolicę swoje specjalne wiadomości i polecenia.

Kiedy po raz pierwszy, przeglądając pocztę u siebie w mieszkaniu stwierdził, że wiadomości dotarły tam, wydostał z biurka i rozwinął dużą, szczegółową, naklejoną na płótno mapę Polski, wziął czerwony ołówek i miasteczko Podgórze otoczył kółkiem.

Stanisław Łukasiewicz

Rys. St. Gierowski

WŁADYSŁAW MACHEJEK

Z R Z U T

(Fragment z powieści)

SAMOLOT zakołował, a gdy zapłonął umowny kwadrat ognisk, wyfrunęło kilka spadochronów z workami broni i amunicji.

Obok worków z pepeszami, „Diegtiariewami", granatami — jedna przesyłka skoczyła ludzkimi nogami. Był to porucznik Dyduch, pseudonim Hieronim. Przywiózł słowa uznania od Polskiego Sztabu Partyzanckiego dla grupy za niezwykłą dzielność w obronie przed „Żbikiem" z NSZ, nominację dla Bartosza i Żelaznego na majorów, dla dowódców plutonów na podporuczników i sierżantów, a najdzielniejszym Krzyże Grunwaldu.

Obudziła się cała grupa. Wzruszenie długi czas dławiło mowę. „Pamiętają o nas w tej tam Polsce Lubelskiej... nasze rządy... nasze rządy." Wzruszała jedność ziemi już wolnej z ziemią jeszcze niewolną, targającą pęta.

Bartosz spytał krótko, obejrzawszy zrzut: — dlaczego tak mało? Żądaliśmy więcej. Liczymy, że jeszcze stu żołnierzy doszlusuje do grupy. Trzeba broni.

— Jutro drugi zrzut — odpowiedział Hieronim. I do pary drugi skoczek...

Małgorzata z przejęciem słuchała wieści zza frontu. Głos Hieronima budził nadzieję, której długo nie mogła uzasadnić. Gdy rozwidniło się i zwyraźniała twarz skoczka, upewniła się, że zna go skądś. Szerokie brwi, prawie zrośnięte, trójkątna broda... Przy mówieniu ręce zakłada w tyle...

— Towarzyszu, ja was skądś znam. Na pewno znam. — Jej oczy płonęły trwożnym ogniem.

— Ja też zerkam i zerkam... Aha — stuknął się w czoło. Z Mikołowa. Robiłem tam przez pewien czas jako obwodowiec Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej.

— Tak — wyszeptała szczęśliwa. — A Bronka Grelę przypominacie sobie? Możeście go spotkali tam?

Zaklaskał. — Małgorzata? Słyszałem, słyszałem... Dziewczyno, w czepku rodziłaś się... Przecież to on jutro tu skoczy z samolotu.

Wstrzymała oddech niepewna szczęścia.

— No, chodźmy... — powiedział skoczek, udając, że nie jest zmęczony. — Gdzie tu można pogadać spokojnie?

— Najlepiej na stryszku u chłopa. Położycie się wygodnie.

Zgodził się i poszli.

*

Zanim zdążył przyjrzeć się witającym go twarzom, już wpadł w ramiona...

Pokorny wobec szczęścia, zdjął furażerkę i schylił się do dłoni Małgorzaty, ale musnął ją tylko ustami.

— Czy jest tu major Żelazny? — zapytał.

Stał przy nim. — Jestem. — Przywitali się serdecznie, jak starzy znajomi. — No to zbierajcie się do Lublina. Pilotowi spieszy się. Zdaje się, że broń już wyładowana. — Dymitr, gotowyś? — krzyknął w stronę samolotu.

— Toczno — odkrzyknął pilot.

— Poczekaj jeszcze z pięć minut. Muszę pogadać z Żelaznym.

— Prawilno.

Bronek ujął Żelaznego pod ramię i poszli przed siebie w głąb wrzosowiska. Księżyc znaczył ziemię pręgami światła i cieni. Na wysmużeniu światła sylwetki obu oficerów znaczyły się równo, jak dobrane. Żołnierze stwierdzali ten fakt, niby dobry znak. Bronek miał zastąpić Żelaznego po linii polityczno - wychowawczej.

Tej samej nocy Bartosz po naradzie z Bronkiem i Hieronimem wydał rozkaz wymarszu z Muraszowa. Należało spodziewać się, że wylądowanie samolotu nie pozostanie tajemnicą i wcześniej czy później zjedzie karna ekspedycja. To raz. Po drugie w planach grupy opracowanych jeszcze przez Żelaznego leżało jak najszybsze uderzenie w rozbudowującą się sieć Ostwallu. Wywiad wybrał jako punkt ataku wzgórza koło Małogoszczy. Hieronim sięgnął głębiej, otrzymał specjalne zadanie do spełnienia, w którym miała mu pomóc grupa, a osobiście Bronek. Przez rozszyfrowanie bunkrów, rowów, stanowisk, schronów Ostwallu — rozszyfrować plany obronne maszyny hitlerowskiej na tym odcinku... Zażądał do Bartosza przydzielenia do jego dyspozycji kilku najsprytniejszych chłopaków z „węchem geograficznym".

Grupę żegnali starcy muraszowscy ze łzami. Dawali ostatnie wskazówki synom.

— Wicek, pamiętaj o sobie. Żebyś mi się nie zaziębił.

— Maniuś, bez odznaczenia nie pokazuj się. Bo powiedzą, że chłop ino dobrze się bije na zabawie, albo na weselu.

Do rana przebyli przestrzeń dwudziestu kilometrów. Rozłożyli na mokrej, mrożącej trawie nowe, zdobyczne koce, kładli grubo słoninę na pajdy chleba i rozkoszowali się jedzeniem po męczącej podróży. Nowicjusze z Muraszowa i okolicy usnęli tam, gdzie usiedli. Jeden tylko nie spał. Zawisza żartował z wesołego Muraszowiaka, który zabrał skrzypce ze sobą.

— Zagraj. O łysogórskich wiedźmach.

— Wiedźmom nie grałem.

— A komu?

— Mojej dziewczynie.

— Zagraj jej. Na pewno usłyszy.. Nieboże nie śpi, wypłakuje oczy i serce.

Zaprotestował. — Nie płacze! Sama namawiała, żebym poszedł z wami. Biedna ona i ja biedny, więc chce, żebyśmy byli po wojnie bogatsi.

— A ty?

— Ja? Żeby wszystkim biednym było lepiej.

Wartownicy mówili półgłosem, że jest coraz zimniej. Nie dziw, już październik, dobrze że suchy, ale mroźna rosa rankiem spada, jak tłuczone szkło. Potem mówili o Bronku.

— Czuć w nim głowę.

— Silna ręka. Nie da se w kaszę dmuchać.

Szepty te urywkowo dochodziły do uszu Małgorzaty i Bronka, którzy siedzieli przytuleni w pobieżnie zaimprowizowanym namiocie. Bartosz i Hieronim powiedzieli „kochajcie się" i poszli zwiedzać okolicę.

Pierwszego dnia od razu Muraszowian oblazły wszy, chociaż wyszli w czystej bieliźnie. Uśmiechali się poważnie, jakby pieczętowali swoją dolę. Na postoju Małgorzata przypatrywała się, co teraz zrobią. Ten i ów wydłubywał robactwo paznokciami i nosił do ogniska. Ale Muraszowiak ze skrzypcami pod pachą kombinował, kombinował, aż wykopał w piasku jamę i zakopał w nią koszulę, wystawiając rękaw. Wszy uciekały wąziutkim tunelikiem i wpadały na szwie pod twardą podeszwę. Ten przykład podjęła większość „wszarzy". Zawisza, dowódca plutonu cmoknął.

— To ci sposób... Zmechanizowany.

Wchodzili do wsi, życie w niej wrzało zapamiętale — zwózka ziemniaków, kapusty — włączali się w wir, pomagali, kręcili korbami studzien, naciągali tytoń na druty, spędzali krowy z pastwisk — i już zrzucali o zmroku koszule przy korytach z wodą, zlewali zimnym prysznicem kościste plecy, obciągnięte śniadą skórą, już gospodynie nazywali matkami, figurki ich o ognistych twarzach migały się koło kuchen. Później — przed snem — wychodzili jeszcze na podwórka, pokazywali na niebie — kierunek Muraszów. Wesołek ze skrzypcami powiedział:

— My chyba wrócimy tam okólną drogą.

Podsłuchała go Małgorzata. — Przykrzy wam się.

— Przykrzy. Ziemi nam się chce, trzeba wziąć. Gdy dzieci kiedyś spytają, ilem dostał od taty ziemi, powiem: nikt mi nie dawał, wziąłem... Tata nic nie miał, bo tylko siedział za piecem i przeklinał, zamiast biedzie prochem między ślepia... Mnie tylko trapi, czy my coś znaczymy. Człowiekowi rozchodzi się o to, a co dopiero żołnierzowi, który nadstawia głowę. Bo na polu wiadomo — tyle i tyle skosiłem, wiadomo, że to ja...

— I w wojaczce zobaczycie swoją robotę — zapewniła.

Na posiedzeniu sztabu grupy Małgorzata mówiła o nowym narybku słowami pochwały: — pożywni oni, jak chleb. I wszystko robią pod kątem pracy i chleba, które da im ojczyzna robotniczo-chłopska.

Dyskusja odbyła się w ostatnią noc przed uderzeniem na okopy i bunkry. Specjalnie długo sztab przewlekał marsz, by oswoić bez wyjątku całą grupę z zadaniami i niebezpieczeństwami. Grupa miała rozsypać się na kilkanaście oddziałków, które by przez zasieki weszły w głąb Ostwallu, zdane na siebie, wykonały zadanie samodzielnie i wróciły tą samą drogą. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że posterunki niemiecko - własowskie rozłożyły się przed okopami, po domach. Gdy nie zgłupieją, mogą zatarasować odwrót w jednym czy kilku punktach i nawet doprowadzić do likwidacji tego czy owego oddziałku dywersji.

Ruszyli we mgłę, nie widząc pięści usypisk, wymacując je nogami. Wiatr późnojesienny zmiótł mgłę po godzinie i mieszkańcy okolicznych wsi usłyszeli na dziesięciokilometrowej długości szczekanie erkaemów, wybuchy granatów. Rozgwar wystrzałów przeszedł w monotonne bębnienie. Później wybuchom wtórowały jęki; zdawało się, że jęki przysypuje pohuk obrywających się skał. Nie na żarty nastraszono silny batalion Wehrmachtu, stojący w samej Małagoszczy. Dowództwo grupy obawiało się, by ten batalion nie ruszył do akcji, bo przyniósłby grób wielu partyzantom. Ale batalion nie mogąc zorientować się, który odcinek jest faktycznie zagrożony, tylko strzelał Panu Bogu w okno, silnie, że słychać było na milę w koło, jakby z Gór Świętokrzyskich ruszył ołowiany wulkan.

Wracali także szybko, jakby wyczuwając ostrza na plecach. Wyleciało w powietrze kilka bunkrów, kilkunastu strażników zaryło się nosami w ziemi, robotnicy rozbiegli się. Prawie w jednym czasie przyjęły partyzantów zardzewiałe i przedziurawione liście lasu. Liczyli się oczami. Zabitych nie ma. Pięciu rannych, którzy nie płaczą, nie żalą się. Lekko ranni. Bronek winszując sukcesu, zwrócił się specjalnie do Muraszowian:

— A widzicie, każdy żołnierz wpływa na wojnę. Każdy był potrzebny. Każdy wpływa na wyniki bojów. Bez Muraszowian na przykład nie atakowalibyśmy dziesięciokilometrowym odcinkiem, ale ośmiokilometrowym. Znaczy masa, ale bez ciebie nie ma masy.

Władysław Machejek

MARIA JANION

PROBLEM LUDOWOŚCI ROMANTYCZNEJ*)

KLUCZOWOŚĆ stosunku do kultury ludowej dla wszystkich etapów rozwoju polskiego romantyzmu nie była nigdy negowana — nawet przez burżuazyjnych badaczy. Kultura ludowa wtargnęła silnym i bogatym nurtem w twórczość najwybitniejszych przedstawicieli romantyzmu rewolucyjnego; uwarunkowała najwyższe osiągnięcia artystyczne Mickiewicza i Słowackiego. „Narodowe pielgrzymki" po kraju romantycznych poetów i etnografów z powołania, wywodzących się z tradycji Zoriana Dołęgi Chodakowskiego, kierowały się w swych poszukiwaniach dokumentów ludowej kultury myślą poety:

„O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła".

Zależność tak ważnego nurtu literatury od natężenia dążeń wyzwoleńczych mas chłopskich, prących do rewolucji agrarnej, od faktu kształtowania się burżuazyjnego narodu polskiego — jest zupełnie oczywista. Myśl marksistowska, opierając się na postępowym dorobku przeszłości, a przede wszystkim na dorobku rewolucyjnych demokratów rosyjskich i polskich, wprowadziła w obręb tych zagadnień konieczne, naukowe uściślenia, materialistyczną koncepcję folkloru, zajęła się precyzyjnym rozwarstwieniem klasowym kultury ludowej, ukazała jej piękno artystyczne i myślowe.

Wśród licznych, słusznych definicji folkloru najpiękniejsza, najbardziej klasyczna jest chyba ta, którą podczas swych długoletnich studiów nad zagadnieniami kultury ludowej wypracował Maksym Gorki. *„Folklor jest to* — pisał w r. 1935 — *całokształt wiedzy ludu pracującego, zdobytej przezeń na podstawie doświadczeń społecznych i doświadczeń pracy, jest to całokształt wiedzy pastuchów, myśliwych, oraczy, kowali, pszczelarzy, garncarzy, cieślów, rybaków i innych dawnych twórców kultury ogólnoludzkiej".* W dalszym toku swych wywodów Gorki podkreślał, że ów czałokształt wiedzy i doświadczeń był jednocześnie i łącznie zarówno literaturą jak nauką. Była to literatura przeniknięta smutkiem ciężkiego bytu klas uciśnionych, pełna optymistycznej wiary w potęgę mas ludowych, ukazująca siłę fizyczną i przenikliwą mądrość legendarnych bohaterów z ludu, przepojona wielkim marzeniem o lepszej przyszłości. Była to nauka rysująca drogę zwycięstw w zmaganiach człowieka z przyrodą, przekazująca doświadczenia tych, którzy pragnęli ulepszyć narzędzia i ułatwić pracę, przeniknięta wskazaniami moralności ludowej, nieubłaganej dla ciemiężycieli. Tkwiły głęboko w kulturze ludu *„oznaki myślenia materialistycznego, które siłą rzeczy musiały wypływać z procesów pracy i wszelkich zjawisk społecznego życia pierwotnych ludzi"* (Gorki). I dlatego liczni badacze z pierwszej połowy XIX wieku mówili słusznie o swoistej, głębokiej filozofii ludu przenikającej jego podania, przysłowia, powieści, *„zawierające w sobie częstokroć głęboką naukę, cierpką prawdę lub też dowcipny ucinek".*

Traktowanie kultury ludowej jako zjawiska jednolitego, zapoznawanie jej wewnętrznego zróżnicowania prowadzić jednak może do poważnych błędów. Wchodzą tu przecież w rachubę elementy rozwarstwienia klasowego, istniejącego w obrębie chłopstwa i w okresie feudalno-pańszczyźnianym, a także — co ważniejsze — te dwoiste elementy ideologii chłopstwa, które tak przenikliwie scharakteryzował Lenin w swych studiach o Tołstoju oraz te dwoiste elementy folkloru, które najobszerniej i najtrafniej określił w swych artykułach Bieliński.

Bieliński przez wiele dziesiątków lat uchodził za wroga kultury ludowej. Dopiero nauka radziecka ukazała w spuściźnie wielkiego rewolucyjnego demokraty z jednej strony— nieubłaganą walkę wypowiedzianą reakcyjnym koncepcjom słowianofilów i przedstawicieli tzw. *„oficjalnej ludowości"* spod znaku obrony samodzierżawia, z drugiej zaś — atak na idealizację tego nurtu kultury ludowej, który Bieliński uważał za odbicie zacofanych elementów bytu pańszczyźnianego chłopstwa. Bieliński ostro podkreślał ograniczoność, ciasnotę tych warunków życia ludu, które zrodziły i określiły jego kulturę, warunków, jakie narzucił jej klasowy ustrój wyzysku i ucisku. Rozgraniczywszy pojęcia narodowości („nacionalnosti") i ludowości („narodnosti") pisał:

„...Narodowość polega nie na łapciach, nie na sukmanach, nie na sarafanach, nie na wódce — siwusze, nie na długich brodach, nie na kurnych i brudnych chatach, nie na analfabetyzmie i ciemnocie, nie na przekupstwie w sądach, nie na lenistwie umysłu. To nie są nawet i przejawy ludowości, a po prostu narośle na niej..." Wymienione przez Bielińskiego składniki życia chłopa pańszczyźnianego nacechowały jeden nurt folkloru, któremu krytyk ostro przeciwstawił przejawy kultury ludowej, przeniknięte duchem protestu i walki z uciskiem, przepojone uwielbieniem dla bohaterów ludu — Pugaczowych i Razinów.

Podobnie przenikliwą, chociaż wyrażoną niejednokrotnie w zawiłych, niezbyt jasnych sformułowaniach, analizę kultury ludowej przeprowadził polski rewolucyjny demokrata, Edward Dembowski. Myśl o dwoistości folkloru pojawia się u Dembowskiego dość często, niejednokrotnie w otwartym przeciwstawieniu elementów „poetycznych" i „niepoetycznych" (na kontrastowanie takie natkniemy się również u Bielińskiego), czego nie należy jednak stanowczo uważać za dowód walki krytyka z tendencjami realistycznymi w kulturze ludowej. Najjaśniej i najobszerniej swoje stanowisko w tej sprawie sformułował Dembowski w artykule p.t. *„Kilka słów o poemacie dramatycznym samorodnym".* Dobra znajomość życia pańszczyźnianego chłopa uwarunkowała fakt, że Dembowski dostrzegał poniżającą człowieka rolę ciężkiej, zwierzęcej pracy w społeczeństwie klasowym, pracy, która traktowana jest przez ciemiężonych jako przekleństwo życia. *„Praca stała się* — pisał Gorki — *ciężką niewolniczą robotą, z której usunięta została radość tworzenia".* Dlatego też Dembowski oddzielał zdecydowanie w kulturze ludowej, podobnie jak Bieliński, przejawy „krzepkości", siły, *„uwielbienia godnego charakteru"*, pochwały potężnego czynu od tych elementów „prozaicznych" — w terminologii krytyka — które odbijały zacofanie chłopstwa, płynące z warunków pracy, nacechowane *„piętnem w skutku pracy fizycznej i nędzy".* Wnioskował zatem: *„A to oblicze prozaiczne, nędzą, upodleniem w pracy, zmęczeniem, na niebiańskim sercu Ludu wypiętnowane, to oblicze nie będące w żywiole jego, poetyczność pieśni jakże często ćmi! Jeszcze raz powtarzamy: pod względem obrazowości charakteru Ludu, tego, tyle miłości i uwielbienia godnego charakteru, poezje Ludu nic do życzenia nie pozostawiają. Pod względem poezji samej, jest w nich prawdziwa poezja przy znękaniu jawiącym się w formie i duchu".*

Wchłonięcie tak zróżnicowanego wewnętrznie folkloru przez literaturę epoki romantyzmu musiało oczywiście — zgodnie z leninowską koncepcją dwóch nurtów w kulturze społeczeństwa klasowego — wydać w rezultacie dwa sprzeczne zjawiska, t.j. ludowość reakcyjną i ludowość postępową. W literaturze romantycznej pojawia się zatem z jednej strony — idealizacja rzekomo „patriarchalnych" stosunków społecznych wsi, ucieczka do szczęśliwej „chaty sielanów", zewnętrzny ornament „rzewnej" ludowej piosenki; z drugiej zaś — ludowy sposób widzenia rzeczywistości od strony krzywdzonych i poniżonych, pośrednie wyrażenie protestu mas chłopskich, głębokie artystyczne przetrawienie podstawowych tendencji kultury ludowej.

W literaturze polskiego romantyzmu istnienie obydwu antagonistycznych nurtów ujawniło się wyraźnie od chwili literackiego wystąpienia Mickiewicza. Dla nurtu postępowej ludowości istotnym przełomem stała się klęska listopadowej „rewolucji szlacheckiej". Przed klęską — utwory postępowego odłamu romantyzmu zawierały wprawdzie niekiedy to, co nazwać można „ludową koncepcją rzeczywistości", lecz przejawiała się ona nade wszystko w ogólnikowych symbolach — niekiedy tylko zdobywając się na wielkie realistyczne uogólnienia, jak np. w II cz. „Dziadów" i to właśnie u swojego najdojrzalszego, najczęściej daleko wybiegającego wprzód przedstawiciela — Mickiewicza. Było to bezwzględnie literackie odbicie hasła „za was bez was", hasła rewolucjonistów szlacheckich, *„bojowników — ofiarników, którzy szli świadomie na oczywistą zagładę"*, jak pisał Hercen o dekabrystach. Etap ideologicznego dojrzewania i osiągania pozycji burżuazyjno-demokratycznych, jaki zarysował się w wyniku krytycznego przetrawienia doświadczeń ludzi 14 grudnia i 29 listopada, przyniósł także zasadnicze zmiany w nurcie postępowej ludowości romantycznej. Świadome stawianie na siły ludu, jako zasadniczego czynnika rewolucji, chociaż działającego pod hegemonią szlachty, musiało pociągnąć za sobą konieczność bliższego poznania ludu, jego życia, charakteru i kultury. Rozwija się niespotykane w podobnych rozmiarach ani przedtem ani potem etnograficzne zbieractwo najczęściej o bardzo dyletanckim charakterze. Łamy pism zapełniają zapisy folklorystyczne. W ciągu pierwszego dziesięciolecia po powstaniu listopadowym opublikowano olbrzymią ilość przysłów, pieśni, legend, powieści ludu. Do literatury romantycznej lat 1831 — 1848 szeroką falą napływają realia ludowe, których brak odczuwali ideologowie rewolucji szlacheckiej.

Ale zewnętrzne realia ludowe o charakterze ozdobników nie decydowały jeszcze o ludowości „wewnętrznej", według terminologii Bielińskiego. Zdaniem krytyka — rewolucyjnego demokraty ludowość taka polega nie na *„wymuszonym imitowaniu pieśni i powieści, lecz na oddaniu specyfiki umysłu rosyjskiego, na rosyjskim sposobie patrzenia na rzeczy"*, tzn. na głęboko narodowym, ściśle zwiazanym z życiem podstawowych mas sposobie widzenia rzeczywistości. Jeśli mowa o polskiej literaturze romantycznej, to taka realizacja ludowości jest jej właściwa na etapie rewolucyjno-demokratycznym, kiedy uznaje ona lud za jedynego hegemona rewolucji, a rzeczywistość ocenia z jego pozycji.

Istotne rozumienie ludowości, jakie zapoczątkował Bieliński, nurtowało oddawna naukę radziecką. Po pracach Stalina o językoznawstwie wykrystalizowało się ono szczególnie jasno. Referent tych zagadnień na sesji poświęconej konsekwencjom prac Stalina dla nauki o literaturze, A. Iwaszczenko, tak sformułował swoją podstawową tezę: *„Nie należy wulgaryzować i upraszczać samego pojęcia ludowości literatury, powstającej w warunkach ustroju eksploatatorskiego. W dziełach Tołstoja nie znajdziemy szczególnie wielu bezpośrednich wypowiedzi o chłopach. Balzak w swojej „Komedii ludzkiej" stosunkowo bardzo mało mówi o życiu i sytuacji ludu pracującego Francji. Ważny jest tu kąt widzenia rzeczywistości i najdonioślejszych (z uwagi na sytuację mas pracujących) spraw, który obiektywnie zbliża pisarza do nastrojów i dążeń ludu".* U podstaw swoich ta ludowość najwyższej miary posiadać musi głęboką znajomość warunków życia ludu, chociaż nie zawsze wiedza o ludzie znajduje *bezpośrednie* odbicie w dziele literackim. Często etap burżuazyjno-demokratyczny u tych pisarzy romantycznych, którzy przejdą na pozycje rewolucyjno-demokratyczne, nosi charakter terminowania w szkole ludowego obyczaju i kultury, zakończonego egzaminem u ludowych mistrzów rewolucji.

W świetle wszystkich wyżej przytoczonych twierdzeń jasno rysuje się droga „ludowej edukacji" Ryszarda Berwińskiego. U jej szczytów znajduje się wiersz „Marsz w przyszłość", do którego można zastosować słowa Lenina o *„idei rewolucji chłopskiej, idei walki mas o obalenie wszystkich starych władz".*

Maria Janion

**) Fragment monografii o Ryszardzie Berwińskim, opracowywanej na zamówienie Instytutu Badań Literackich.*

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

TEATR POLSKI W WALCE O POKÓJ I PLAN 6-LETNI

(Repertuar teatrów polskich w roku 1951)

P. T. Powszechny w Warszawie: prapremiera „Awansu" Wandy Żółkiewskiej. Reżyseria: Zbigniew Sawan. Dek. A. Sadowski i Wł. Buśkiewicz. C.O.P.A.

„Podstawową metodą naszej pracy partyjnej powinna być metoda uświadamiania i przekonywania. Siła, autorytet, wpływ ideowy i polityczny naszej partii opiera się na jak najściślejszym związku z masami pracującymi. Tylko coraz bliższa łącznosć z masami zapewnia rzeczywiste przenikanie do najszerszych mas, wskazań i haseł politycznych partii" — te słowa wypowiedziane przez Bolesława Bieruta na VI Plenum KC Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — wyznaczają zarazem zaszczytne zadanie dla polskich ludzi sztuki, dla naszych teatrów, dla naszej młodej dramaturgii przenikniętej duchem partyjnym i rewolucyjnym, dopracowującej się stylu realizmu socjalistycznego.

Nasze piśmiennictwo dramatyczne otrzymało w Polsce Ludowej potężną bazę oddziaływania, jaką jest zastęp nowych widzów. W krzesłach teatralnych zamiast wczorajszych snobów i drobnomieszczan ślinących się do pornograficznych aluzji — zasiedli ludzie pracy, robotnicy, inteligenci i młodzież, budowniczowie kraju tworzącego podstawy socjalizmu.

Teatr stał się — jak nigdy dotąd w naszych dziejach — instytucją narodową. Liczba stałych scen — 60— przekroczyła znacznie liczbę przedwojenną. Powstały teatry w szeregu miastach pozbawionych ich dotychczas, jak na przykład w Radomiu, Rzeszowie czy Gdyni. W samym Krakowie ilość scen stałych wzrosła obecnie do sześciu z dwu w okresie przedwojennym. Oprócz tego dwanaście teatrów objazdowych odwiedza setki miasteczek i państwowych gospodarstw Rolnych.

Nowy widz żąda od pisarzy i artystów zerwania z zapleśniałymi schematami teatru burżuazyjnego, pragnie w zwierciadle sceny zobaczyć istotne sprawy związane z jego życiem. Wielka problematyka rewolucyjna naszych czasów domaga się twórczych i ambitnych rozwiązań, rozprawienia się z obozem amerykańskiego imperializmu i reakcji. Patos i optymizm Planu 6-letniego przynoszą wspaniałe perspektywy nieznanych dotąd artystycznych środków wyrazu.

Pierwszym wielkim pokazem realizmu socjalistycznego na naszych scenach był niezapomniany Festiwal Sztuk Radzieckich w roku 1949, w którym wzięły udział wszystkie teatry polskie, wprowadzając do repertuaru wybitne utwory przodującej dramaturgii świata. Festiwal dla publiczności, dla autorów dramatycznych i dla ludzi sceny był potrójną lekcją.

Widzowi — sztuki radzieckie przyniosły nowe obszary wzruszeń teatralnych, przekonały go, jak w sposób dramatyczny, lapidarny i zdumiewająco celny rozwiązać można na scenie problemy współczesne. Pokazały mu również bogactwo i siłę tradycji Październikowych w klasycznych już dzisiaj dziełach z okresu Rewolucji. Pisarzom naszym — przez lata w znacznej mierze odciętym od przodującej literatury świata — dopomogły w poszukiwaniu właściwego wyrazu dla ważnych treści społecznych, nauczyły ich czujności twórczego spojrzenia, skierowanego na najistotniejsze sprawy życia, wobec których teatr burżuazyjny pozostawał bezradny. Wreszcie dla artystów sceny — utwory radzieckie stały się szkołą nowej metody stawiania postaci i konfliktów, wydobywania ich politycznego i głęboko ludzkiego sensu.

Twórcze przeżycie doświadczeń Festiwalu Sztuk Radzieckich pozwoliło Ministerstwu Kultury i Sztuki na ogłoszenie konkursu na utwór teatralny o tematyce współczesnej, a następnie na zorganizowanie w roku 1951 Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych.

Na konkurs nadesłano przeszło 50 sztuk z czego około 30 zostało zakwalifikowanych do wystawienia. Polscy pisarze dramatyczni odpowiedzieli na apel widowni. Posypali naftaliną wypełzłe kostiumy dawnych „bohaterów" trójkąta małżeńskiego, wypędzili ze sceny marazm i bezideowość, wypisali słowo: „amus" na arsenale czczych chwytów formalistycznych.

Autorzy wyruszali w teren na poszukiwania nowych treści i nowych prawdziwych bohaterów. Jest rzeczą charakterystyczną, że największa procentowo grupa sztuk konkursowych rozgrywa się w środowiskach robotniczych, obejmujących różnorakie gałęzie naszego rozkwitającego przemysłu.

Tworząca się dramaturgia polska nie obyła się oczywiście bez wielu „chorób wzrostu". Jedną z najpowszechniejszych był brak selekcji treściowej. Wynikało to z sytuacji debiutowania pisarzy na nowym dla teatru gruncie — fabryki czy wsi produkcyjnej. Teren poznany zbyt niedawno urzeka bogactwem szczegółów, utrudnia skupienie uwagi na jednym, najważniejszym zagadnieniu. Mógłby ktoś powiedzieć, że na wpół reportażowy charakter sztuk wprowadza wielostronnie w środowisko, pociąga bogactwem zmiennych epizodów — trudno jednak nie dostrzec, że cierpi na tym jędrność utworu, typowość obrazu — i w konsekwencji jasność i wymowa naczelnego problemu ideowego.

W wielu wypadkach na niedojrzałości społecznej pisarzy ucierpiał wizerunek pracy partyjnej, rola organizacji partyjnej w przedstawianym konflikcie scenicznym. Niekiedy autor ograniczał się jedynie do zakomunikowania widzowi, że bohater sztuki jest komunistą, nie wyciągając z tego wniosków, ani ukazując jego związku z kolektywem. Kiedy indziej postać sekretarza partyjnego wprowadzana była na zasadzie „deus ex machina", niespodziewanie i mechanicznie rozwiązującego splątane wypadki.

Z drugiej strony figury sabotażystów służyły często do zawiązania stereotypowej akcji sensacyjnej. Nie ukazano wnikliwiej źródeł ich inspiracji i ich korzeni klasowych, ograniczając się do schematu, jak to dowcipnie zauważył Jerzy Pański: — „w roku 1939: sklepikarz; w 1941: volksdeutsch; w 1945: spekulant; 1949: agent imperialistycznego wywiadu". Tak skonstruowana postać demaskowała się oczywiście od razu w oczach widza, szkodliwie upraszczała kapitalne zagadnienie czujności proletariackiej

Jeszcze jednym błędem niektórych sztuk był „technicyzm", płytkie i efekciarskie żonglowanie zbędnymi w teatrze szczegółami fachowymi, uczynienie bohaterem utworu suchego procesu uprodukcyjnego. A przecież sprawy produkcji są w teatrze o tyle „fotogeniczne", o ile autor potrafi pokazać, jak wiążą się, jak wpływają na życie pracowników, jak ważnym są współczynnikiem w kształtowaniu ich świadomości klasowej.

Pisarze częstokroć w następnych redakcjach sztuk starali się naprawiać owe niedomagania, wytykane im przez krytykę.

Osiągnęli też niejeden sukces. Tak na przykład w sztuce Leopolda Rybarskiego: „W stoczni" autor, malując życie robotników naszego Wybrzeża, nie ograniczył się do zagadnienia produkcyjnego. Ośrodkiem zainteresowania jest tu żywy człowiek postawiony w ogniu walki klasowej, łamiący się z balastem starego, błądzący i znajdujący. „Wraz z normami wygraliśmy ludzi" — powiada w zakończeniu sekretarz organizacji partyjnej, zamykając w tych słowach naczelny proces sztuki i najważniejszą sprawę socjalizmu. Podobnie szczęśliwych rozwiązań tych czy innych wątków było oczywiście więcej.

Wśród pozycji Festiwalu największy sukces zdobyło kilka utworów, które wymienię.

„Zwycięstwo" Janusza Warmińskiego powstało z autentycznych wypadków, związanych z założeniem pewnej spółdzielni produkcyjnej na Pomorzu. Autorowi udało się szczęśliwie uogólnić literacko — typowe wydarzenia, pokazać rosnącą solidarność biedoty i straceńczy opór kułaków. W efekcie powstała pierwsza u nas sztuka, dająca trafny w sumie, polityczny obraz współczesnej wsi. — *„Zwykła sprawa"* Tarna opiera się na ryzykownym na pozór założeniu dramatycznym; cała akcja rozgrywa się w czasie zamkniętego posiedzenia sądu przysięgłych w Nowym Yorku. W tej właśnie formie, w niezwykle sugestywnym skrócie Adam Tarn zdemaskował prawdziwe oblicze dolarowej sprawiedliwości amerykańskiej. Do sukcesu sztuki przyczyniło się znakomite przedstawienie Teatru Współczesnego w reżyserii Axera — *„Awans" Wandy Żółkiewskiej* dzieje się w środowisku robotniczym. Mimo pewne braki kompozycyjne, autorka ciekawie wydobyła nowy typ konfliktów, rodzących się z ogromnych przemian Planu 6-letniego, pokazała jak rozwijają one świadomość starych aktywistów, przyzwyczajonych do dawnych form walki o socjalizm.

— *„Wczoraj i przedwczoraj" Aleksandra Maliszewskiego* — to sprawy rodziny robotniczej na tle Stolicy w ostatnich decydujących siedmiu latach. Realistyczne splecenie dziejów ludzkich z losami miasta zadecydowało o powodzeniu tej bardzo warszawskiej sztuki, granej w kilkunastu teatrach całego kraju. — Jedyną pozycją historyczną była *„Odezwa na murze" Anny Świrszczyńskiej.* Utwór — nie pozbawiony przerostów melodramatycznych i uproszczeń w przedstawieniu wielkiego „Proletariatu" — zdołał jednak wydobyć żywą i wzruszającą treść z zaniedbanej w naszej literaturze tematyki początków walki rewolucyjnej. Sztuka ta zapoczątkowała całą serię powstających obecnie utworów teatralnych o postępowych tradycjach polskiej przeszłości.

Mimo pewnych braków Festiwal posiada przełomowe znaczenie na tle historii polskiego dramatu. Cenne jest tutaj nie tylko wzbogacenie zasięgu tematycznego, ale również upolitycznienie spojrzenia na konflikty ludzkie, wprowadzenie na scenę nowego człowieka budującego u nas socjalizm. Dramaturgia polska później niż powieść i poezja stanęła na gruncie realizmu socjalistycznego. Stało się to właśnie w ubiegłym roku. Utwory festiwalowe są istotnie pionierskie na terenie swojego gatunku literackiego — stąd pewne ich niedostatki pisarskie i uproszczenia. Stanowią jednak fundamentalny etap w dziele budowania nowej sztuki w wielkich perspektywach przyszłości. Festiwal Sztuk Współczesnych włączył teatr polski do walki o pokój, związanej nierozerwalnie z walką o realizację Planu 6-letniego.

Obok nowych polskich sztuk drugą zasadniczo ważną grupę stanowią w repertuarze naszych teatrów — utwory radzieckie, najcenniejszy wzór bezkompromisowego, bolszewickiego stosunku do przedstawianej rzeczywistości, ostrości widzenia problematyki współczesnej, mistrzowstwa artystycznego. Cyfra dwudziestu paru sztuk radzieckich w repertuarze utrzymuje się w roku bieżącym, podobnie jak w ubiegłych. Z prowadzonych obecnie pozycji największe zainteresowanie wzbudziły premiery: „Szczęścia" Pawlenki oraz „Interwencji" Sławina, a także polskie adaptacje sceniczne klasycznych powieści: „Poematu pedagogicznego" (przeróbka aktora Jerzego Rakowieckiego) i „Statku Derbent" (przeróbka pisarza Romana Bratnego). Najczęściej grywanymi autorami radzieckimi są: Simonow („Obcy cień", „Chłopiec z naszego miasta"), Korniejczuk („Kalinowy gaj", „Makar Dubrawa") i Ławreniew („Głos Ameryki", „Za tych, co na morzu").

Wysunięte w obecnym okresie Frontu Narodowego hasło poszukiwań polskich tradycji postępowych znalazło w bieżącym roku wyraz w prapremierze odnalezionego niedawno dramatu Stefana Żeromskiego pt. „Grzech". Utwór dający bezlitosną analizę demoralizującej roli pieniądza w ustroju kapitalistycznym — został przygotowany na scenę przez najwybitniejszego naszego dramaturga Leona Kruczkowskiego.

Wśród wielu postępowych pisarzy wieku oświecenia w Polsce, dramatu romantycznego i mieszczańskiego realizmu krytycznego — najczęściej grywany jest klasyk komedii polskiej Aleksander Fredro: w ubiegłym roku wystawiono 9 jego sztuk w 19 inscenizacjach. Nowe spojrzenie na Fredrę zapoczątkowało przed dwoma laty przedstawienie „Męża i żony" w reżyserii Bohdana Korzeniowskiego. Dało ono na kanwie samego tekstu, bez żadnych wstawek inscenizacyjnych — krytyczny obraz szlacheckiego obyczaju przeszłości. Choć sam pisarz tkwił bez reszty w pojęciach swojej klasy — realizm jego utworów staje się dla nas cenną szkołą poznania Polski minionego wieku. Po tej linii — Fredry na nowo współcześnie odczytanego poszła w r. 1951 inscenizacja „Dożywocia" w Katowicach. Sięgnięto również do mniej znanych komedii, jak np. „Ostatnia wola", grana we Wrocławiu. Największą ilość wystawień w r. 1951, mianowicie 8, osiągnęła ulubiona sztuka teatrów polskich: „Moralność Pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej — zjadliwa satyra na światek kołtunerii.

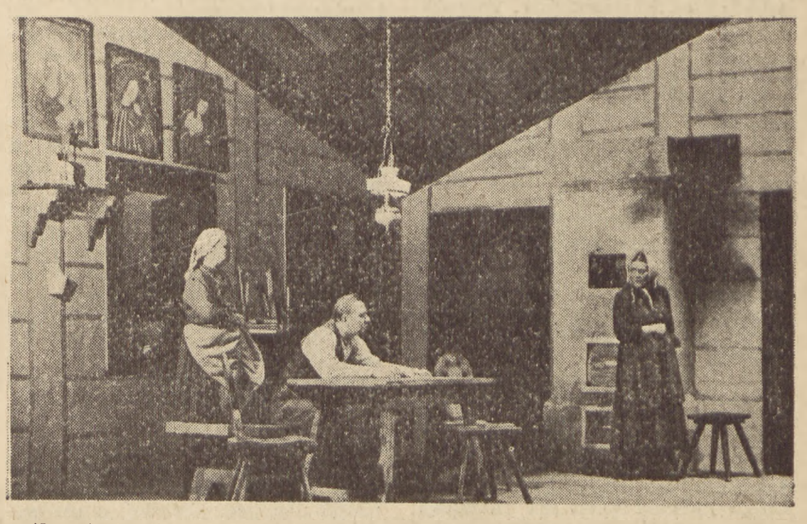

„Zwycięstwo" — J. Warmińskiego w Państwowym Teatrze Polskim w Poznaniu.

(Dokończenie na str. 7)

W kręgu listów chłopskich

Na zebraniu Komitetu Gromadzkiego Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Mogielnicy nad Pilicą *Foto CAF*

STANISŁAW CIEŚLAK

Sojusz z robotnikiem (II) *)

NOWY stosunek do państwa i do nakładanych przez niego obowiązków toruje sobie, choć nie bez trudu, drogę do świadomości mas pracującego chłopstwa.

Wprawdzie teoria marksizmu - leninizmu, zwłaszcza w owych spopularyzowanych formach, dociera coraz szerzej do wsi, przynosząc tam nową wiedzę o prawach rozwoju społeczeństwa, o istocie i charakterze klasowym nowego, ludowego państwa.

Wprawdzie i praktyka codziennego życia społecznego ogromadzającego się wokół terenowych Rad Narodowych dostarcza coraz więcej wiedzy o istocie i charakterze naszego, nowego, ludowego państwa. Ale nie jest to proces ani łatwy ani krótki.

A tymczasem zachodzi pilna potrzeba przyspieszenia tego procesu. Bowiem bolesne opóźnienie się rozwoju naszego rolnictwa w stosunku do rozwoju naszego przemysłu ma także (choć nie wyłącznie) swą przyczynę w powolności tego procesu przemian w świadomości podstawowych mas chłopskich.

Celem nowej terenowej pracy polityczno - uświadamiającej jest właśnie nie co innego jak dopomaganie chłopom mało i średniorolnym w zdobyciu tej nowej świadomości. Nie jest bowiem sprawą obojętną, czy stosunek obywatela do państwa wynika z jasnej świadomości istoty, charakteru i celów tego państwa, czy ze strachu przed jego siłą.

Jeśli z tego punktu widzenia przystępujemy do analizy nadesłanych nam listów i korespondencji, to stwierdzić musimy duże jeszcze luki, w rozumieniu tych spraw, które trzeba jak najszybciej wypełnić.

Weźmy np. list ob. Rogowskiego, średniorolnego chłopa z woj. łódzkiego. Jest to działacz ludowy dawnego typu, nie wolny jeszcze od „ciągotek" kapitalistycznych (dzierżawa, domaganie się nowych typów maszyn indywidualnych itp.), aktywista ZSL.

Nie uchyla się, jak wielu innych średniaków, od pracy społecznej, uważa, i słusznie, za swój bezpośredni obowiązek branie czynnego udziału w akcji skupu zboża i kontraktacji. Jak jednak argumentuje? *„Kogo my tam żywimy? — pyta — tam jest też Polska, tam jest nasza, rodzinna krew. Czyż nie jest prawdą, że z naszej gromady wyemigrowało do Łodzi przeszło 40 osób? My pracujemy dla nich — oni dla nas."* A wypełnienie obowiązków wobec Państwa da nam i *„zadowolenie: duchowe, żeśmy okazali miłość względem brata swojego"*...

Nie wydaje nam się, aby traktowanie państwa, jako rozszerzonej rodziny ludzi złączonych węzłami krwi, było bardzo szczęśliwe i zbliżało nas, a nie oddalało od zrozumienia klasowej treści naszego nowego ludowego państwa. Owszem dążymy budując ustrój socjalistyczny i stając się narodem socjalistycznym do jedności polityczno - moralnej całego narodu, ale dziś w okresie ostrej walki klasowej o zbudowanie nowego ustroju, odgrzewanie starych patriarchalnych koncepcji jest wodą na młyn wroga klasowego, który zasłaniając się wspólnotą krwi broni się przed zdemaskowaniem i wyizolowaniem z życia społecznego narodu.

Ob. Rogowski pragnie przy pomocy takich argumentow trafić nawet i do tych, którzy są *„najtępszego pojęcia"*, którzy tkwią jeszcze *„w zacofaniu i fanatyźmie"*. A nam się wydaje, że tak wstydliwie toczona walka klasowa tylko ich umacnia w tym zacofaniu i fanatyźmie.

O ile trafniej i słuszniej rozumie istotę naszego ludowego państwa Ob. Zemła Jadwiga. *„Przecież Państwo to właśnie my — chłopi, robotnicy, inteligenci, uczeni i żołnierze"*. Rozumie dobrze przodującą rolę bohaterskiej klasy robotniczej, gdy mówi, że trzeba *„brać przykład z naszych braci robotników, hutników i górników, którzy osiągają w swej pracy takie wyniki"*. Wie dobrze, że przede wszystkim od klasy robotniczej, od jej walki i pracy zależy przyszłość pracującego chłopstwa, wie, że walka toczy się dziś już nie tylko o to, aby przynieść doraźną ulgę masom pracującego chłopstwa, ale o coś więcej, o to, co otwiera dopiero nieograniczone perspektywy wzrostu oświaty, kultury i dobrobytu na wsi, o to *„aby praca nasza stała się lżejsza i wydatniejsza"*. Rozumie *„spójnię w oparciu o metal"*.

Tę wiedzę o państwie zdobyła ob. Zemła nie w szkole. *„Musiałam od małego — wyznaje — ciężko pracować i odrabiać u ludzi za najętego konia, czy też za długi, jakie pozostały w spadku po ojcu. Oczywiście, w takich warunkach o szkole nawet marzyć nie mogłam..."*

Gorzkie doświadczenie życiowe, bieda, z którą i w kraju i na obczyźnie, na Saksach musiała się ob. Zemła borykać przed wojną i w czasie okupacji, oraz obecna a przeciwstawna do przeszłości nowa sytuacja życiowa — otworzyła jej oczy, na to, czym było dawne kapitalistyczne państwo, a czym jest nasze nowe ludowe państwo.

Ob. Cubała Stanisław jest synem robotnika rolnego. Polska Ludowa uczyniła go chłopem średniorolnym. Dała i jemu i jego rodzinie dobrobyt. Ale nie zakopał się w swoim gospodarstwie jak inni średniacy, nie poprzestał na intensywnym dorabianiu się „na swoim", czuje się odpowiedzialny, tak jak świadomy robotnik, za całą gospodarkę narodową, jemu nie trzeba przypominać o obowiązkach wobec państwa.

„Wywiązałem się ze swych obowiązków wobec państwa w terminie — pisze — bo rozumiem, że państwo buduje wielkie fabryki, huty, kopalnie, bloki mieszkalne..."

Jakże przekonywująca jest ta argumentacja i to zwrócenie uwagi na słuszność rozbudowy hut i kopalń (i dopiero za nimi, przy nich bloków mieszkalnych) w ustach człowieka, który nie ukrywa, że na przeszkodzie do dalszego wzrostu produkcji w jego gospodarstwie stoi brak materiałów budowlanych: „z powodu ciasnego chlewa nie można więcej trzymać, a na rozbudowę większego chlewa brak materiału i gotówki". Ale ob. Cubała wie, że rozbudowy gospodarstwa narodowego nie można zacząć od rozbudowy chlewów, ale właśnie od wielkich fabryk od hut i kopalń. Ob. Cubała wie, że rozbudowa przemysłu, zwłaszcza ciężkiego, stworzy warunki dla rozbudowy chlewów. Czy czeka na to tylko cierpliwie i z założonymi rękami? Nie. Jest zdania, że mimo tych braków, trzeba stale i wciąż walczyć o wzrost produkcji rolnej. I dlatego całą swą pracę społeczną i polityczną koncentruje w tym „aby uświadamiać rolników, jak zwiększyć urodzaj".

Gdy czytamy list ob. Tuskego, może się nam z początku wydawać, że jest to jeden z tych zakopanych w gospodarstwie średniaków, o których pisaliśmy w numerze poprzednim. Mówi przecież że *„gospodarz jak chce coś mieć z gospodarstwa, to musi włożyć w gospodarstwo całą swoją duszę"*. Ale byłby to sąd bardzo powierzchowny. Jest bowiem w tym liście wiele sygnałów, świadczących, że i w tym średniorolnym chłopie - Kaszubie kiełkuje nowa świadomość. Zwłaszcza wskazuje na to ustęp o zrozumieniu *obustronnym* i *o obustronnym* sojuszu między robotnikami i chłopami.

Bywa bowiem, że w listach chłopskich napotykamy na podobne zwroty, ale pisane z myślą wytargowania pewnych doraźnych, chociaż uzasadnionych korzyści. Jeden z korespondentów pisał nam np. niedawno o tym, że gdyby władza ludowa i klasa robotnicza bardziej wniknęła w to, czym jest jarmark dla chłopa, zaopatrywałaby lepiej (nie napisał nam jednak czy jeszcze kosztem wielkich miast, czy z innych dodatkowych, a nam bliżej nieznanych źródeł) w mięso, wędliny i tłuszcz miasteczka małe, zwłaszcza w dni targowe.

Ale ob. Tuske, pisząc o konieczności obustronnego zrozumienia i obustronnego sojuszu, myśli o potrzebie zmiany postawy wielu jeszcze chłopów pracujących, którzy dotychczas traktowali ten sojusz jednostronnie, akceptując jego korzyści, a nie widząc obowiązków, jakie ten sojusz nakłada na pracujące chłopstwo.

Sojusz robotniczo - chłopski jest podstawą polityczną władzy ludowej i główną dźwignią przebudowy całego naszego ustroju. Bez jego zrozumienia nie można zrozumieć istoty, charakteru i celów naszego ludowego państwa, nie można stać się doświadczonym budowniczym socjalizmu. Zrozumienie tego sojuszu zatacza coraz szersze kręgi w masach pracującego chłopstwa, ale wymaga jeszcze jak o tym świadczą nasze listy dalszego pogłębienia oraz wyprostowania tych wszystkich fałszywych poglądów, jakie się jeszcze wokół tej głównej sprawy z inspiracji wroga klasowego, z nieprzezwyciężonych do końca wpływów dawnego ustroju, plączą, utrudniając i opóźniając formowanie się świadomości mas chłopskich ku czynnemu współtworzeniu nowego lepszego ustroju.

Stanisław Cieślak

*) „Zakopani w gospodarstwie", „Wieś" nr 2

Państwo to właśnie my —

Urodziłam się i wychowałam na wsi i poznałam dobrze co to bieda, gdyż ojciec mój — małorolny chłop posiadał kawał ziemi, który nie mógł wyżywić licznej rodziny. Chleb był u nas tylko na wielkie święta. Jeszcze gorzej było, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, bo ojciec zmarł, a ja jako najstarsza z rodzeństwa musiałam się opiekować chorą matką i młodszym rodzeństwem, musiałam ciężko pracować i odrabiać u ludzi za najętego konia, czy też za długi, jakie powstały w spadku po ojcu. Oczywiście w takich warunkach o szkole nawet marzyć nie mogłam, a czytać i pisać nauczyłam się od młodszych braci, którzy trochę do szkoły chodzili. Kiedy podrośli moi bracia i siostra musiałam iść na służbę do miasta, gdzie byłam prawdziwą „Kaśką Kariatydą". Musiałam ciężko harować za marną zapłatę. A gdy raz poprosiłam swej pani, czy nie mogłaby mi podwyższyć zapłaty, to mi odpowiedziała, że jak mi się nie podoba, to mogę sobie odejść i będzie miała na moje miejsce innych dziesięć. Oczywiście, że po tym zajściu podziękowałam swej pani za pracę i wróciłam do domu. lecz już wtedy powstał we mnie bunt — dlaczego jedni mają tak dobrze a inni źle, — dlaczego my ludzie pracy w czasie wojny musieliśmy jeść wykę i lebiodę, gdy tacy panowie — spekulanci żyli sobie jak gdyby wcale wojny nie było, tak dobrze im się powodziło. Już wtedy poznałam kto wojny robi, oczywiście, że ten, kto z nich korzysta.

Wojna się skończyła, ale w domu pozostała ta sama bieda. Trzeba było szukać pracy, ale to nie było takie łatwe, gdyż nigdzie do pracy nie przyjmowano a nawet zwalniano.

W tym czasie dużo ludzi emigrowało na „Saksy" więc też i ja z innymi pojechałam. Chciałam w jakiś sposób pomóc mej biednej matce. Reszta mojego rodzeństwa również poszła szukać pracy i chleba.

Po trzech latach wróciłam do domu, gdyż mi napisano, że w Polsce jest już lepiej, że już można pracę dostać. Jakież było moje rozczarowanie, gdy po powrocie trafiłam właśnie na kryzys i jeszcze większą biedę niż przed mym odjazdem.

Po powrocie do domu wyszłam za mąż za chłopaka tak samo biednego jak ja i też bezrobotnego, gdyż właśnie z wojska powrócił i nigdzie pracy nie mógł znaleźć. Otrzymałam część ojcowizny, ale trzeba było wszystko dźwigać z upadku. Później mąż znalazł pracę, lecz zarobek nie wystarczał nawet na życie, więc też zmuszony był szukać innej pracy. Był jakiś czas bezrobotny, aż w końcu znalazł pracę w kopalni w Zagłębiu. Może nawet wystarczyłaby nam na skromne życie, ale chcieliśmy sobie wybudować dom, gdyż stary po dziadkach walił się już. Zaczęliśmy składać pieniądze, chociaż przyszło nawet od ust sobie odjąć. Kiedy po trzynastu latach pracy męża w kopalni mieliśmy już materiał na dom, wtedy wybuchła ta przeklęta wojna i wszystko znów przepadło. Mąż poszedł na wojnę, materiał zabrali Niemcy, reszta pieniędzy złożona była w PKO i też przepadła. Pozostała tylko rozpacz i pięcioro małych dzieci (najstarszy miał lat 15). Na wojnie mąż dostał się do niewoli, z której po dwóch przeszło latach wykupił go mój najstarszy syn, który pojechał do Niemiec, na miejsce ojca. Nie utrudniali zamiany, gdyż woleli młodego i zdrowego niż starego do pracy.

Po wojnie mąż poszedł znów do pracy, a ja nadal prowadzę moje gospodarstwo i radę sobie dajemy. Kiedy już doczekałam lepszych czasów, to mam nadzieję, że i dom sobie wybudujemy i stodołę i oborę również.

Chociaż i teraz w mym życiu nie brak różnych przeszkód i trudności, to jednak serce rośnie, gdy widzę moje dzieci uczące się na koszt państwa. Najstarszy mój syn obecnie pracuje w kopalni, młodszy kończy Technikum Górnicze w Zabrzu — a mam nadzieję, że gdy tylko będzie się dobrze sprawował to i na Akademię albo Politechnikę pójdzie. Najmłodsza moja córka również uczy się w szkole ekonomicznej w Sławięcicach. a wiem że i przed nią droga stoi otworem do dalszej nauki. Już moje dzieci nie doczekają się takiej biedy, jaką ja i mój mąż przeżyliśmy. jakiej wszyscy doznaliśmy w czasie ostatniej wojny. Dziś mogę być spokojna o przyszłość mych dzieci, gdyż są one pod opieką Państwa Ludowego i dlatego na pewno nie zginą. Dziś oddając Państwu zboże, wiem, że czynię to dla mych dzieci i dla mych braci robotników, bo przecież Państwo to właśnie my, — chłopi, robotnicy, inteligenci, uczeni i żołnierze. Dlatego też dziś każdy chłop pracujący winien nie szczędzić wysiłku swego ale brać przykład z naszych braci robotników, hutników i górników, którzy osiągają w swej pracy takie wyniki. Każdą nadwyżkę zboża oddać Państwu, aby mieli co jeść wszyscy robotnicy, aby robotnicy szybciej wykonali plan i dostarczyli nam tyle maszyn i nawozów, dzięki którym praca nasza stałaby się lżejsza i wydajniejsza. Dziś każdy chłop winien kontraktować trzodę, aby nigdy nie brakło nam mięsa, aby dzieci nasze i naszych braci nigdy nie były głodne.

Uważam, że ten mój apel trafi do serca wszystkim mieszkańcom wsi polskiej, że zrozumieją mnie. Na pewno wielu przeszło takie same koleje życiowe lub podobne jak ja i wiele ma do zawdzięczenia Polsce Ludowej.

Pełniąc funkcję w zarządzie GS będę się starała o to aby nasza spółdzielnia była przodującą w powiecie, aby towar przychodzący był rozdzielony sprawiedliwie i pomiędzy wszystkich członków.

JADWIGA ZEMŁA
Wieś Lgota, gm. Koziegłówki
woj. krakowskie

Chłopi gromady Karnin pow. Gorzów *Foto CAF*

Sojusz i zrozumienie obustronne

Przed wojną chłopa i robotnika nie ceniono. A chłop i robotnik w każdym państwie to podstawa bytu. Bo gdyby nie praca chłopa, nie byłoby chleba, a gdyby nie praca robotnika w fabrykach, nie byłoby maszyn i narzędzi. Widzę z tego, że chłop i robotnik musi trzymać sojusz i zrozumienie obustronne i wówczas będzie dobrze na całym świecie.

Ja to dobrze zrozumiałem, zboże odwiozłem przed terminem 2 miesiące, podatki zapłaciłem również w tym czasie. A podatki też zapłaciłem od razu, bo przyszedł z gminy sekretarz i powiada: słuchajcie gospodarzu — zapłaćcie od razu wszystko, to nie będziem do was chodzić i odrywać od roboty, a zapłacić tak czy tak, trzeba, bo to się należy państwu — wy tracicie czas i my tracimy czas, a wcześniej dacie, to wcześniej wykonamy 6-letni Plan— a Plan 6-letni — wiecie gospodarzu — to przyszłość jaśniejsza wasza i waszych dzieci, to są zręby do socjalizmu. Więc zrozumiałem to wszystko i zboże oddałem przed czasem od razu i resztę podatku zapłaciłem przed terminem — bo jeszcze słyszałem na zebraniu gromadzkim, że my gromada Odnoga współzawodniczym z gromadą Rokitki i chcemy być w ogóle pierwsi w naszej gminie.

Jak się chce, to można się wywiązać, tym bardziej, gdy się pracuje dla siebie. Gospodarz, jak chce mieć coś z gospodarstwa, to musi pracować i jeszcze raz pracować, włożyć w gospodarstwo całą swoją duszę. Dużo przy tym pomaga uświadomienie przez czytanie gazet, jak na przykład „Rolnika", gdzie znajdują tak cenne wskazówki gospodarskie.

Do prac w polu podchodzę zawsze planowo, z góry wymiarkowuję sobie, co i gdzie posieję, tak samo obliczam paszę dla bydła. Mam 7 ha ziemi ornej, 0,95 ha łąk oraz pastwisk 0,55 ha. Posiadam jednego konia, ale mocnego, 3 dojne krowy, 1 jałoweczkę, 4 świnie, w tym jedną maciorę, drób, owce i pszczoły.

Pracę swoją lubię i kocham, gdyż jestem z zawodu i urodzenia rolnikiem. Jestem chłopem Kaszubem z pow. kartuskiego, do pow.. słupskiego przybyłem w 1947 r. W gospodarstwie pracuję razem z żoną i dziećmi, których mam sześcioro. Należę do Związku Samopomocy Chłonskiej, jestem członkiem Gminnej Rady Narodowej. Dzieci moje uczą się w podstawowej szkole powszechnej w Rokitach.

Przy pracy znajduję czas i na czytanie. Gdy człowiek obiad zje i trochę wypoczywa, to wtedy może wziąć się za czytanie „Gromady" czy „Rolnika". Więcej czasu mam w zimie i chętnie czytam wieczorami, bo światło mamy elektryczne.

JAN TUSKE
Odnoga, gm. Rokita
pow. Słupsk

Zespół spółdzielczy w gromadzie Lasowice pow Nysa *Foto — AR*

My pracujemy dla nich — oni dla nas

Jestem od 3-ch lat członkiem Gm. Rady Narodowej w Niesułkowie, przewodniczącym Kom. Oświatowej, prezesem koła gromadzkiego ZSL-u w Dąbrówkach, kierownikiem ośrodka maszynowego w Dąbrówce, poza tym od pół roku członkiem Rady Powiatowej i członkiem Kom. Komunikacyjnej pow. Brzeziny.

Co do patriotycznej postawy gromady w akcji skupu to najpierw należy samemu zająć tę nienaganną postawę. Dalej żeby dobrze ustosunkować społeczeństwo, należy najpierw odświeżyć umysły ludzkie, gdyż to co przeszło szybko się zaciera. Potem trzeba wymienić wszystkie korzyści z tego tytułu. A wreszcie trzeba podziałać na ambicję obywatela - Polaka.

Na początku swej kadencji spotykałem się dość często z cichą krytyką i nieufnością. Patrzano kosym okiem w gromadzie i poszeptywano pod adresem radnego Rogowskiego; co tam taki pionek zrobi? Nawet jeden z obcej gromady zaśmiawszy się — mówił, „Już pan idzie zagajać? Ja, jak zagajałem to bez spodni zostałem i jeszcze 3 tygodnie w pace siedziałem"...

Ale ja nie żałuję sił i ciągnę pracę dalej. Należy jednak operować argumentami których nikt nie może obalić.

Co dała Władza Ludowa? Najpierw reformę rolną, pracę robotnikom i bezrolnym. A jeśli chcemy być szczerymi to musimy przyznać, że również szeroki dostęp do uczelni, pomoc maszynową w rolnictwie, dziecińce, domy starców, biblioteki, gazetę dla wsi na żądanie, bezpłatny wyjazd na kurację itd.

Nie ma bezrobocia, nie ma dziadów, włóczęgów, złodziei. Możesz spokojnie wyjść w pole, nie zostawiając nikogo w domu i nie bać się jak kiedyś, że tu cię nieproszony gość okradnie. Nie potrzeba więc nocować w oborze i tam pilnować, a cały rok żyć pod strachem i być niewolnikiem swej pracy.

Sprzedając zboże do punktu skupu w terminie, realizujesz państwowy plan roczny, zaopatrzenia miasta w chleb, wsi zaś, w artykuły przemysłowe. To samo dzieje się z podażą tuczników przez nas, ponieważ chleb i tłuszcz to są podstawowe artykuły żywnościowe. A teraz pytam dlaczego to należy czynić? Kogo my tam żywimy? Tam jest też Polska, tam jest nasza rodzona krew. Czyż nie jest prawdą, że z naszej gromady wyemigrowało do Łodzi przeszło 40 osób? My pracujemy dla nich — oni dla nas. Tak mówię na zebraniach.

Potrzebującym służę pisaniem podań w sprawie zaopatrzenia i uzyskują. Sprowadzam w porę potrzebne maszyny rolnicze i usprawniam ich pracę tak, że widzę ogólne zadowolenie i wotum ufności kierowane pod moim adresem, nie tak jak dawniej. Zaczynamy też współzawodniczyć z innymi. Na jednej z sesji powiatowych w Brzezinach w sprawozdaniu referatu podatkowego i ref. skupu figurowaliśmy już z 72 proc. wykonanego planu podczas gdy inne wsie o połowę niżej, ale właśnie w tym czasie zaczął się u nas skup załamywać. Po powrocie robię zebranie w gromadzie, trzeba zaapelować i trafić do ambicji obywatela-Polaka. Mówię więc: „Szkoda, że was obywatele nie było dziś na zjeździe w powiecie. Jak to miło słyszeć, że my jesteśmy gromadą przodującą, ale nie wolno nam opuszczać rąk; niech nasza ambicja będzie większa od innych, abyśmy nie pozostali z tyłu, dumni być powinniśmy, że nas tak daleko widać; a jeszcze większą wartość ma w tym miejscu zadowolenie duchowe, żeśmy okazali miłość względem brata swojego, boć i religia tego nakazuje". Wyjaśnienie takie i pierwsze i drugie da możność zorientowania się człowiekowi, choćby był najtępszego pojęcia, w swoim zacofaniu i fanatyźmie. Teraz nasza gromada 45-cio rodzinna ruszyła naprzód i szybko realizując plan odniosła błogosławione zwycięstwo.

JÓZEF ROGOWSKI
Dąbrówka, pow. Brzeziny
woj. łódzkie

Mnie nie trzeba przypominać

Urodziłem się w 1889 r. 24.10. we wsi Dłużykowa, pow. Włoszczowa, w woj. kieleckim. Pochodziłem z rodziny służby folwarcznej. Od młodych lat byłem wyzyskiwany przez obszarnika - kapitalistę. Do szkoły w tym czasie nie uczęszczałem, bo ich nie było, a obszarnicy trzymali służbę w nędzy i zacofaniu, żeby robotnik nie posiadał żadnego wykształcenia, bo gdyby robotnik posiadał wykształcenie, to by się nie dał wyzyskiwać. Mając lat 18, widząc krzywdę swojej rodziny i innych rodzin, wstępuję w szeregi PPS. Ale w PPS było rozdwojenie, jedni, to ugodowcy, którzy chcieli, aby nie robotnikowi, ale obszarnikowi było dobrze. Ja trzymałem się zawsze rewolucyjnej części PPS, jej lewicy. Po przejściu Armii Radzieckiej wstępuję do odrodzonej PPS, a kiedy przychodzi połączenie obu partii wstępuję do PZPR i jestem do dzisiejszego dnia jej członkiem. W życiu społecznym i politycznym gminy biorę żywy udział, byłem przez 2 lata członkiem GRN, a teraz jestem członkiem Komisji Rolnej, gdzie uświadamiam rolników, jak powiększyć urodzaj. Po przejściu wojsk radzieckich zostałem wyzwolony z ucisku kapitalistów i obszarników i nadano mi ziemię z reformy rolnej 5 ha. bez budynków i dlatego przez dłuższy czas mieściłem się w pozostałym po obszarniku budynku. W 1949 r. buduję stodołę. W 1950 r. w ciężkich warunkach wystawiłem 1-izbowe mieszkanie i chlew. Inwentarza żywego posiadam: 2 krowy, 1 konia i dwie a czasem i trzy świnie. **Z powodu ciasnego chlewa nie można więcej trzymać, a na rozbudowę większego chlewa nie ma materiału i gotówki.** Kontraktuję rzepak zimowy, z którego mam duże korzyści i radziłbym, żeby wszyscy chłopi przystąpili do kontraktowania **rzepaku zimowego.** W 1951 r miałem zakontraktowane dwa tuczniki wagi 235 kg, które odstawiłem w Kroczycach do gminnej spółdzielni. Za te tuczniki przyznano mi ulgę podatkową nie w tym roku, ale dopiero na r. 1952. Ziemię mam lekko-piaszczystą, na której nie chce się rodzić koniczyna, lucerna itp. a rodzą się tylko ziemniaki, peluszka, seradela, groch okrągły i żyto. Z brakiem paszy radzę sobie tak, że po zbiorze żyta sieję mieszankę, peluszkę, groch ogrągły i wiele innych. Staram się w moim gospodarstwie, żeby wszystko **było na czas** zorane. Mamy trzy córki, już dwie są zamężne i prowadzą swoje własne gospodarstwo, a mężowie ich pracują w Hucie Zawiercie. A trzecia córka pracuje w filii GS w gromadzie Żerkowice. Zimową porą, kiedy są dłuższe wieczory, to czytam **Chłopską Drogę.** Książki też lubię czytać, **tylko ich nie ma u nas, a lubię bardzo czytać książki o rolnictwie.**

Zasady kontraktacji trzody chlewnej są bardzo dogodne dla chłopów, trzeba jednak pilnować, żeby GS ściśle wykonywały swoje zadania. Wywiązałem się ze swych obowiązków wobec państwa w terminie, bo rozumiem, że państwo buduje wielkie fabryki, huty, kopalnie, bloki mieszkalne, że robotnikom potrzeba chleba, tłuszczu do wyżywienia robotników, bo przecież jak robotnik nie będzie miał tłuszczu i chleba, to i praca przy maszynie stanie. **Kiedy ja byłem u obszarnika i pracowałem od świtu do nocy, to nieraz pracowałem cały dzień i nie miałem chleba i nieraz musiałem się napić zimnej wody i na czczo iść spać. Mnie więc nie trzeba przypominać, że każdy robotnik potrzebuje chleba i tłuszczu, dlatego sprzedałem chętnie i w terminie nadwyżkę zboża, żeby robotnik miał co jeść i jego rodzina.**

STANISŁAW CUBAŁA
Żerkowice, gm. Kroczyce,
pow. Zawiercie

EDMUND SAS

O „GLINIANYCH" I „ŻELAZNYCH" GÓRNIKACH

WĘDRÓWKI po Opoczyńskiem poprzedziłem lekturą „Dziennika podróży Stanisława Staszica". Oto co pisał w roku 1797 o tej ziemi gorący zwolennik „industrii", pionier polskiego kapitalizmu: „Dnia 2 lipca zwiedziłem kopalnię rudy żelaznej w okolicy Białaczewa. Ruda przy

samym Białaczewie, idąca sznurem od między — wschodu a południem ku między — zachodu i północy głęboka o sążni 2 i czasem mniej. Poprzedza ją warstwa gliny, dalej warstwa szystu iłowatego, kruchego i w cienkie składki; pod tym leży warstwa rudy... Pod tą na stopę albo dwie grubą rudą następuje kamień piaskowy, pożerak w górniczym języku, z przyczyny, że on dopiero zaczyna ssać z siebie sok żelazny. Ta ruda w tym miejscu jest w robocie natury. Sączy się tędy woda z gór wyższych, prowadzi z sobą żelaza części i temi przejmuje warstwę, po której ścieka. Żelazo z niej trochę kruche. Przy wsi Parczowie kopią rudę w drobnych gruzełkach. Ma być obfitą, ale także żelazo jej kruche. Warstwa jej, na łokieć miąższa, nie równo leży..."

Wyprawiłem się na tę ziemię późną jesienią minionego roku, nastawiony głównie na badanie dawnych dziejów kopalnictwa w tych stronach. Chciałem odpowiedzieć sobie na dręczące pytania: co stało się ze starą tradycją wydobywania glinki i rudy, i czy ta licha, niewdzięczna dla chłopów ziemia uczyni z nich dostatnio żyjących górników, tu, z daleka od Śląska. A miałem przy tym jeszcze jeden specjalny powód przemierzenia pieszo ciekawszych części opoczyńskiego powiatu. Przecież to ziemia, uderzająca ubóstwem nawet z okien pociągu, ziemia, którą stale sobie oddawały województwa raz kieleckie, raz łódzkie, nigdy sprawnie nie administrowana...

✣

Póki mija się wąskie skrawki ziemi, ogląda nieliczne krowy na zrudziałej trawie, ludzi przy jesiennej orce, liche wioski — trudno uwierzyć w istnienie górników opoczyńskich...

A przecież najlepszym dowodem ich „prawdziwości" jest fakt, że rząd Polski Ludowej nadał wszystkim górnikom z kopalni glinek ogniotrwałych, a więc i tym tutaj, Kartę Górniczą i wszelkie przywileje z niej płynące.

W kopalni w Nowej Górze glinę wydobywa się już od kilkudziesięciu lat. Przed wojną kopalnię prowadzili różni przedsiębiorcy. Wydobywano glinę tylko tam, gdzie było najłatwiej, gdzie była najbliżej powierzchni. Kopano szyb w tzw. „parasol", wokół niego wybierano glinę, ile tylko było można. Potem szyb się zawalało, ludzie kopali następny. Była to zwykła kradzież, tym jaskrawsza, że tereny te stanowiły własność państwa a przedsiębiorcy dzierżawili je za grosze. Ale kto wtedy kontrolował kapitalistów?

Urządzenia do wydobywania urobku? Drewniana korba, taka, jak przy studniach wiejskich i kubeł na linie. Takimi „urządzeniami" wydobywano wówczas glinę i odwadniano szyby. Robocizna była tu tania, a zdrowie robotnika jeszcze tańsze. Wokół panoszyła się nędza. Wieś opoczyńska przeludniona, sproletaryzowana i zacofana. Chłopscy „górnicy" konkurowali o najlichszy zarobek, bezwolnie nieraz ciągnąc wynagrodzenie w... dół.

— A jakie zmiany?

Opowiadał mi o nich Michał Augustyniak, zastępca sztygara, górnik z pobliskiej wsi Chełsty.

— Popatrzcie! Większość szybów posiada mechaniczne wyciągi. Kopalnię odwadniają motorowe pompy. Praca na dole odbywa się systemem ubierkowym. Górnicy pracują na całej ścianie, co zwiększa bezpieczeństwo, a jednocześnie pozwala wydobywać całą glinę z dołu. Główne chodniki są pogłębiane i zakładamy w nich szyny z wagonikami. Przed tym transport gliny w dole odbywał się ręcznie a ze względu na niskie pokłady — na kolanach. Ponadto, gdzie tylko można, rąbanie gliny zastępujemy odstrzeliwaniem. Te detonacje, które słychać od czasu do czasu, to właśnie górnicy strzelają na dole. Na każdym kroku praca staje się lżejsza, a jednocześnie pracujemy coraz oszczędniej i wydajniej.

Podwórko w gospodarstwie Augustyniaka, zarośnięte trawą, a bardzo schludne. Nie widać tu zwykłego rozgardiaszu chłopskiego. A i mieszkanie przyjemne. Czyściuteńkie, kwiatki w oknach, „wychuchane" jak... u górników ze Śląska.

Po wieczerzy siedliśmy przed domkiem. Dochodziły nas odgłosy wieczornego życia wsi. Krowy żałośnie porykiwały, jakby czuły, że niedługo skończy się swoboda, nadejdzie zima.

Z bliższych chałup słychać było wołania daleko się niosące...

Paliliśmy papierosy. Dym mieszał się z jesienną mgłą.

✣

Droga do Maleńca prowadzi przez pola uprawne. Są one podobne do tych, jakie widziałem w Chełstach, Sielcu, Marcinkowie i wszystkich „górniczych" wioskach. Z tą tylko różnicą, że tamte były ogromnie długie i wąskie, te zaś fantastycznie posiatkowane.

Do Maleńca wszedłem od strony Żarnowa, co pozwoliło mi obejrzeć całą wieś, nieomal od zagrody do zagrody. To raczej maleńka osada, gęsto zabudowana w różnych kierunkach. Przy każdym prawie domku, mały, starannie utrzymany ogródek. Sam Maleniec przypomina raczej odległe przedmieście jakiegoś ośrodka przemysłowego, gdyby nie prawdziwie wiejskie otoczenie — las, rzeka, łąki. Typowa osada robotnicza, zagubiona wśród wiosek z... sołtysem na czele. I mieszkańcy Maleńca, to robotnicy z dziada pradziada.

Na tych ziemiach zaczyna się północna część „staropolskiego zagłębia przemysłowego". Tutaj — jeszcze za czasów Staszica i księcia ministra Lubeckiego powstawał rodzimy przemysł a zarazem i kapitalizm. W Rudzie Malenieckiej, Maleńcu, Nowej Górze, Kołońcu, Franciszkowie, Kawęczynie. Przemoc i ucisk panów feudalnych i dworów nad chłopem pańszczyźnianym przemieniał się tu bezpośrednio w wyzysk kapitału. Wyzysk ten w swej, nieomal pierwotnej, surowej formie przetrwał aż do ostatniej wojny. Dzieje tutejszych chłopów na zawsze związane są z historią powstawania polskiego górnictwa i hutnictwa.

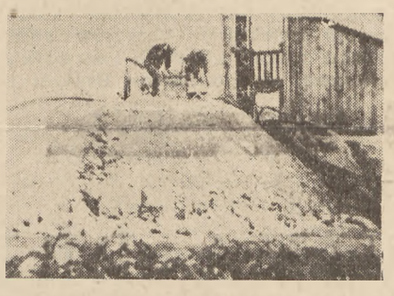

W Maleńcu miałem trochę szczęścia. Od razu trafiłem do człowieka, który mógł mi opowiedzieć o dawnych dziejach „zakładu żelaznego". Był to Antoni Bomba. Pracował w walcowni od chłopięcych lat, dzisiaj, mimo podeszłego wieku przoduje jako brygadzista.

— Walcownia pobudowana została w roku 1839 przez hrabiego Bocheńskiego, ówczesnego właściciela Maleńca, Rudy Malenieckiej i jeszcze kilku folwarków. Pamiętam dokładnie dlatego — opowiadał Bomba — bo na starych drzwiach walcowni jest zamek, na którym wybito rok powstania. Jeszcze przed tym była to starodawna kuźnica. Kiedyś pełno tu było kuźnic, młotowni, fryszerek, „wielkich pieców", przeważnie nad Czarną. Niedaleko stąd, w Kołońcu, też były „wielkie piece". Tam jeszcze dzisiaj stoją mury tego pieca. Na pewno żyje również stary Blacharski. On zdaje się pracował przy piecu.

Z Kołońca przywożono do nas żelazo do walcowania.

Walcownia poruszana jest wodą. Jak w młynie, tylko, że zamiast mąki robimy lemiesze, deski do pługów, gwoździe.

Do 1905 roku pracowaliśmy po 24 godziny, a po tym 24 wolnego. Strasznie ciężko, ale cóż, właściciele tak chcieli i nie było gadania. W 1905 roku strajkowaliśmy. Po strajku pracowaliśmy już tylko po 12 godzin i wywalczyliśmy jeszcze wtedy o 2 grosze więcej na centnarze.

Dwunastogodzinny dzień pracy pozostał aż do 1939 roku. Trochę i dlatego, że kapitaliści krajowi i zagraniczni coraz mniej interesowali się przemysłem i bogactwami naturalnymi tych stron. Gdzie indziej szybciej można było się bogacić... A dla chłopów z Maleńca i okolic przemysł był prawie wyłącznym źródłem utrzymania.

Bomba pokazał mi walcownię z bliska. W ciągu przeszło 100 lat nie zmieniono tu nic. Ani jeden gwóźdź nie został tu wbity więcej, niż trzeba było do podtrzymania walących się desek.

— Ale zakład nasz będzie w ramach Planu 6-letniego rozbudowany i unowocześniony. Rozpoczęcie budowy przewidziane jest w 1952 roku. Woda nie będzie już poruszała naszej walcowni, a dostarczy nam elektryczności dla uruchomienia zakładu i oświetlenia mieszkań.

✣

Bliżej Kołońca Czarna wypływa na równinę.

Równina ta przeraźliwie została wysuszona. Mała pustynia, pokryta zeschniętą trawą i paroma suchymi krzaczkami.

Zapytywani po drodze ludzie wyjaśniali mi, że kiedyś była tu piękna łąka i pole uprawne, użyźniane wodą z rzeki. Tama, zamykająca ujście Czarnej, została dawno zniszczona — łąki wyschły.

— Ale to już niedługo. O, popatrzcie..

Pokazali mi ogromne wykopy i świeżo sypane wały.

— Rząd buduje nam nową tamę. Na łąkach znów będzie trawa..

Na ławeczce przed domem, który mi wskazano, siedziało dwóch starców w wieku około 75 lat. Jeden nazywa się Blacharski, drugi Przybył.

— Chcieliście dowiedzieć się o tamtych czasach?

Blacharski zamyślił się, jakby zbierał okruchy wspomnień. — Ja sam nie pracowałem przy piecu. Tylko mój ojciec tam robił. Widziałem jak robili. Sam woziłem żelazo po świecie. Ale sąsiad Przybył, to właśnie tam robił.

Pochylił się do siedzącego obok starca i powiedział głośno:

— Ten pan chciałby, żebyście opowiedzieli, jak to robiono żelazo w piecu? Słyszycie?

— Słyszę, słyszę...

— Kiedy zbudowany został piec w Kołońcu?

— O, to nie za mnie było... Wiem tylko, że budował go dziedzic z Fałkowa, niejaki Jakubowski, a ludzie z jego folwarków i tu z Kołońca robili żelazo. Walcownia i fryszerki też tu były. Jak na przykład robili na walcowniach, albo i na hamerniach, to huk tak ogromny, że w okolicy było słychać, a w środku to ludzie ginęli...

— A skąd sprowadzano rudę?

— Różnie. Z Paszkowic, Sobieszowa, Mroczkowa, z Nowej Góry... Mroczkowska była najlepsza.

— Co wyrabiano?

— Wszystko, a najwięcej to samego żelaza, co szło jeszcze gdzie indziej na przerób. Furmany wozili je w konie albo i woły aż do Piotrkowa, Zduńskiej Woli, Tomaszowa, Przedborza... wszędzie, po całym świecie.

— Kiedy zaprzestano robić przy piecach?

— Kiedy? Pewnie to było, tak jakoś po moim weselu, co Józefie? — zwrócił się do Blacharskiego.

Doliczyliśmy się we trzech, że wielki piec w Kołońcu przestał dymić w latach 1897 — 8.

— Jaka była przyczyna zamknięcia pieców?

— Ludzie opowiadali, że wtedy odkryli żelazo na Ukrainie i tamto było tańsze jak nasze...

— A z czego się potem utrzymywali ludzie? Przecież dużych gospodarek nie mieliście?

— Po dwie, trzy morgi. Ci, co robili w kopalniach, albo przy piecach, nie dostawali więcej z nadziałów, bo by nie chcieli robić. Mój ojciec, pamiętam, dostał półczwarta morgi, bo niby był pomocnikiem majstra.

— Z gospodarek więc nie można było się utrzymywać?

— Nie. Toteż niektórzy pracowali po lasach, dużo wyjechało do Prus, albo jeszcze dalej, tym, co zostali, było lżej. Ubyło gąb.

Blacharski pokazywał mi znalezioną na podwórzu u niego szlakę wielkopiecową i kawałki żelaza, wygniecione spod walca.

Pełno jest tego po drogach, na podwórkach, na polach.

✣

Nazajutrz wróciłem do Opoczna. Stąd rozpocząłem drugi szlak wędrówek. I tutaj spotkałem się z podobnymi dziejami. Ta sama podwojona tradycja górników — chłopów opoczyńskich.

Jakie są obecnie perspektywy rozwojowe dawnego, „staropolskiego zagłębia przemysłowego", leżącego w granicach województwa kieleckiego? Zagłębia, które ze względu na swe bogactwa naturalne, winno stać się jedną z baz zaopatrzeniowych dla rozwijającej się coraz potężniej gospodarki narodowej.

Plan 6-letni określa te perspektywy w sposób zwięzły, a jakże pełny treści:

35 nowoczesnych kopalń rudy zwiększy 4-krotnie wydobycie rud żelaza.

31 tysięcy izb mieszkalnych.

29 nowych zakładów przemysłowych.

✣

Przede mną nowa wyprawa w Opoczyńskie. Wyruszę tam wiosną, na ziemię „odkrytą" przez Staszica,

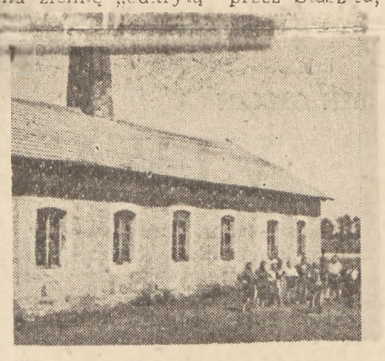

bogatą w kopaliny a zdolną w epoce Planu 6-letniego zapewnić zubożałym chłopom wspaniałe perspektywy rozwojowe, uczynić z nich „glinianych" i „żelaznych" górników.

Edmund Sas

W 70-lecie urodzin Lucjana Rudnickiego

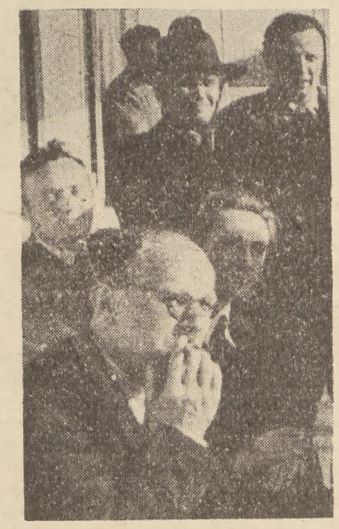

Lucjan Rudnicki z pisarzami polskimi w ZSRR. Zdjęcie na statku na rzece Ob.

Odbywające się w Warszawie 17-18.I. plenum Związku Literatów Polskich na wstępie swoich obrad urządziło serdeczną owację z powodu 70-lecia urodzin znakomitemu koledze-pisarzowi—Lucjanowi Rudnickiemu. „Nie miałem nigdy żadnych imienin ani urodzin—powiedział Rudnicki. Wszystkie uroczystości rodzinne odchodziły na bok wobec ważniejszych uroczystości". I mówiąc o 54 latach swojej świadomej działalności, porównał ją do pracy gospodarskiej, domowej, której jakby nie widać, mimo, że składa się z ustawicznej krzątaniny. Sprawozdaniem z tej krzątaniny nazwał skromnie Rudnicki swoje pisarstwo.

Drobna, ruchliwa postać Lucjana Rudnickiego o białych włosach i żywym blasku oczu, znana jest w Warszawie i nie tylko w Warszawie. Bierze on czynny udział w pracach Związku, w dyskusjach i zjazdach z postawą człowieka, który wszędzie pragnie się uczyć, wszystko przejmować za swe najgłębsze doświadczenie życiowe.

Pisarstwo Rudnickiego, to, jak je sam określił, „sprawozdanie z krzątaniny życiowej" jest pozornie tylko autobiograficzne. Bo też krzątanina to nie byle jaka.

To walka w pierwszych szeregach partii, żmudna, codzienna praca organizacyjna, to więzienie dla sprawy, to głębokie, po markistowsku, po robotniczemu pojęte kształcenie świadomości własnej i świadomości klasy robotniczej, to od wczesnej młodości uczenie się i poznawanie. „Oczy, uszy, czubki palców ciągnęły mnie do nowych doświadczeń, do bezustannego poznawania: co, jak i kiedy" — pisze o sobie Rudnicki w „Starym i Nowym". Pisze o sobie, ale nie tylko o sobie. I to jest ta perspektywiczna szerokość pamiętnikarskiego dzieła Rudnickiego. Pisząc o sobie — pisze on ciągle o kimś ważniejszym — o klasie robotniczej, o jej wyrastaniu i awansie, o dziejach jej dojrzewania umysłowego. Dlatego też tylko pozornie pisarstwo to ma cechy dokumentarne. Będąc nim, będąc jednym z pamiętników robotniczych, jakich po wojnie powstało wiele, jest pisarstwo Rudnickiego w odróżnieniu od nich dziełem w całym tego słowa znaczeniu — literackim, jest dziełem należącym do literatury pięknej i jak ona — trwałym.

W 70-lecie tego pisarza klasy robotniczej wszyscy czytelnicy jego książek i ich ponownych nakładów życzą Mu długiego życia, życia owocnego w pracę i w nowe dzieła, które zapewnią mu jeszcze trwalszą miłość i wdzięczność obywateli Polski Ludowej.

A. K.

HANNA KIRCHNER

SPRAWY KRYTYKI I KRYTYKÓW

(Notatki z narady)

DWUDNIOWE posiedzenie plenarne Związku Literatów było naradą produkcyjną pisarzy, poświęconą współczesnej krytyce. Był to w równej mierze przegląd „wąskich gardeł" naszej krytyki literackiej, jak i analiza słabości i błędów literatury. Prawda o dialektycznym wszechzwiązku zjawisk bardzo silnie bowiem uwydatnia się na przykładzie literatury i krytyki. Krytykę można określić, parafrazując słowa Żeromskiego, jako dobosza, który wyznacza rytm marszu pisarzy do realizmu socjalistycznego. Dlatego też, jeżeli krok naszej kolumny jest nierówny, jeśli oddział idzie opieszale i często pozostaje w tyle, znaczy to, że dobosz wybija takt nieskładnie, że pobudka jest niedość rześka i głośna.

Na konferencji w Radzie Państwa w przemówieniu swym min. Berman podkreślił szczególnie silnie, iż nowy, trudny etap budownictwa socjalistycznego nakłada na literaturę szczególne obowiązki. Dlatego też najcenniejsze na ostatnim plenum były te wypowiedzi, które akcentowały konieczność wyostrzenia narzędzi krytyka, niezbędnych w nowej jego pracy. Napięcie walki klasowej w naszym kraju nie zmalało, imperialiści nie zaprzestali wrogiej roboty. Obowiązek pełnej mobilizacji politycznej w dalszym ciągu jest jak najbardziej aktualny, stanowi podstawowe kryterium oceny patriotyzmu i odpowiedzialności społecznej pisarza. Słusznie więc się stało, że obrady, ograniczające się początkowo wyłącznie niemal do problemów warsztatu krytyka, przemówieniem Adama Ważyka skierowane zostały na zasadnicze zagadnienia głębokiego upolitycznienia krytyki, jej czujności wobec nacisku wrogich prób zakwestionowania normatywności realizmu socjalistycznego, wobec postawy samouspokojenia, która sprawia, że szereg pisarzy odchodzi od tematyki współczesnej, postawy, która nie pozwala dostatecznie żywo reagować na objawy pozostawania w tyle, obniżenia napięcia walki z wrogiem klasowym.

Nie bez przyczyny sporo uwagi poświęcono na plenum, pasji namiętności, jaka winna cechować krytyka. Nie jest ona bynajmniej sprawą indywidualnego temperamentu, „stylu" pisarskiego. Jest to namiętność polityczna, wyraz jak najbardziej żarliwego uczestnictwa w sprawach swojego czasu, wyraz świadomości, że każda książka ma swoje określone miejsce w walce klasowej, w wielkiej bitwie o pokój. Dzięki takiemu postawieniu sprawy rozstrzygnięto kwestię, tak zdawałoby się wyłącznie warsztatową, jak kwestia form, w jakich wypowiada się krytyk. Niewątpliwie bowiem zanik małych, polemicznych form, takich jak felieton, notatka, zanik obszernego, syntetycznego essay'u i przygnębiająca przewaga sprawozdawczej recenzji mają swe źródło w niedość silnym i głębokim związaniu się naszej krytyki z zadaniami politycznymi współczesności, z ostrożnością i lenistwem krytyków w stosunku do trudności, jakie przynosi z sobą etap przechodzenia naszego kraju do socjalizmu.

Słowo pisarza ma wagę odpowiedzialności za wychowanie socjalistycznego społeczeństwa. Pamięć o tym to także jedno z ważnych przykazań dla krytyka. Wierszy uczymy się na pamięć — mówił na plenum Adam Ważyk — pozostaje on w wyobraźni narodu, jako trwały zasób piękna naszego języka. Ileż więc szkody może narobić jedna fałszywa, chybiona metafora, która o wielkich sprawach walki człowieka, o szczęście, o pokój, mówi słowami płaskimi, czy dziwacznymi. Walka o piękno, celność, jasność języka to w dużej mierze walka o treści, które tym językiem są wypowiadane. Czy pamiętacie „notatki gaffologa" Tadeusza Borowskiego? Pisarz ten z właściwą sobie namiętnością atakował wszelkie zachwaszczenia, wykrzywienia, fałszerstwa językowe, pamiętając dobrze o tym, że jakość literatury to także zawarte w niej bogactwo języka narodowego.

Słabość ideologiczna krytyki przejawia się nie tylko w niedostatecznej umiejętności oceny etapów walki o realizm socjalistyczny, jak to trafnie ocenił Kazimierz Wyka. Przejawia się ona także w słabym przygotowaniu naukowym, w braku znajomości szeregu działów marksistowskiej wiedzy o świecie i człowieku. Wypowiedzi Stefana Żółkiewskiego, Romana Karsta i in. podały szereg przykładów powierzchowności, frazeologiczności naszej krytyki, wynikających właśnie z braku dostatecznej wiedzy. Wyciągając wnioski z tych faktów, uczestnicy plenum zastanawiali się nad konkretnymi formami szkolenia młodych krytyków. Rzucane projekty skonkretyzowano w formie uchwały Z. G. ZLP o utworzeniu komisji krytyki. Ma ona stać się instancją, dbającą o systematyczne szkolenie kadry krytycznej o wysokim poziomie ideologicznym i naukowym. Jednym z jej zadań będzie m. in. stała ocena krytyki bieżącej i rozwiązanie tak podstawowych bolączek jak krytyka w pismach codziennych i recenzje wewnętrzne w wydawnictwach.

Nierozerwalna łączność krytyki i literatury przejawiła się m. in. na plenum w nieustannym nawrocie w wypowiedziach dyskutantów do zagadnienia schematyzmu. Jest to bowiem w równej mierze problem literatury, jak i krytyki. Wyrasta on także z jednego źródła: płytkiego stosunku do rzeczywistości, niedowładu ideologicznego. Schematyczny bohater był główną troską szeregu wypowiedzi krytycznych ostatniego czasu. Wymyślano różne środki zaradcze. Wydaje się jednak, że nie postawiono dotąd tego problemu w sposób właściwy. Wielokrotnie proponowano rozszerzenie środków charakterystyki bohatera przez ukazanie go na drobiazgowo odmalowanym tle życia prywatnego, przez skomplikowanie jego wnętrza. Było to pozorne rozwiązanie zagadnienia przez niezbyt słuszne nawiązanie do wzorów realizmu krytycznego, przed czym ostrzegał prof. Żółkiewski w swoim wykładzie („O nowatorstwie i tradycji w warsztacie krytyka") na kursie polonistycznym w Międzygórzu. Na tymże kursie prof. Kott pokazał najsłuszniejszą, jak się wydaje, drogę do uniknięcia schematyzmu. Pełnię obrazu psychologicznego bohatera osiągnie się przez pogłębienie konfliktu ideologicznego, w ramach którego kształtuje się świadomość bohatera. Jan Kott słusznie stwierdził, że w naszej literaturze brak wielkich dyskusji intelektualnych, żadnemu z pisarzy nie udało się zobrazować, tak jak to jest w literaturze radzieckiej, przełomu w świadomości bohatera, jego dorastania do moralności socjalistycznej.

Jeden z moich przyjaciół, tuż przed zaczęciem plenum, żartował: oto nadchodzą tłumy pisarzy z 500-stronicowymi tomami żalów i pretensji pod adresem krytyków. Była to złośliwość nieuzasadniona. I szkoda. Na plenum nie było prawie pisarzy, nie zabierali głosu, nie powiedzieli w jakim stopniu krytyka pomogła im, nauczyła ich, wychowała, w jakim zaś stopniu pozostaje niedobrą macochą. Padały natomiast głosy, mówiące o niesłusznych reakcjach pisarzy na ostrą krytykę. A przecież krytyka literacka ma także za zadanie ukształtować nową sylwetkę moralną pisarza. Dokona tego, wychowując samą siebie.

Zbyt mało było jednak na plenum głosów samokrytycznych, zarówno ze strony krytyków jak i pisarzy.

Ile razy pisze się jakieś sprawozdanie z frontu walki o nową literaturę, wraca ze szczególną siłą pamięć o Tadeuszu Borowskim. Chce się zawsze odwołać do jego żarliwości, do jego, tak potrzebnej wszystkim świadomości, że literatura jest formą agitacji komunistycznej, że pisarz, to człowiek, który powinien patrzeć dalej i rozumieć więcej niż inni. Pamiętacie, jak pisał w jednej ze swoich kronik: „Nad liczną naszą grupą, wznoszącą bojowe okrzyki, łopotać będzie szeroki transparent ze skromnym, ale pięknym hasłem: „Przez śmiałą krytykę i samokrytykę zwalczajmy nasze błędy, braki i słabości, udoskonalajmy metody pracy!" Ludzie wspinają się na palce, nie mogą odczytać napisu, podnieśmy wyżej transparent, koledzy!"

Hanna Kirchner

Teatr polski

(Dokończenie ze str. 3)

Doświadczenia inscenizacyjne dzieł klasyki polskiej w roku ubiegłym doprowadziły do zajęcia się wielu realistycznymi pozycjami naszej dawniejszej postępowej dramaturgii. W roku 1952 zostanie wystawionych szereg sztuk od lat nie grywanych, lub zgoła zapomnianych, usuniętych w cień przez teatr burżuazyjny. Będą to wybrane utwory Bogusławskiego, Dmuszewskiego, Zabłockiego, Apolla Korzeniowskiego, Narzymskiego, Świętochowskiego, Kisielewskiego.

Z klasyki rosyjskiej najczęściej grywany jest Ostrowski — w roku 1951: 6 sztuk w 8 inscenizacjach. Następne miejsce zajmuje Gorki. W ubiegłym roku wprowadzono też do repertuaru nie grane dotychczas sztuki: „Małżeństwo Kreczyńskiego" Suchowo-Kobylina, „Łaskawy chleb" Turgieniewa i „Mądremu biada" Gribojedowa. Twórcy tego ostatniego widowiska w warszawskim Teatrze Polskim otrzymali Państwową Nagrodę Artystyczną.

Współczesny repertuar zachodni bardzo rzadko znajduje drogę na sceny polskie, przeniknięty jest bowiem w większości wypadków dekadenckim pesymizmem i wrogą ideologią. Poważny natomiast procent w repertuarze przypada na klasykę zachodnią z Molierem (6 sztuk — 8 wystawień), Szekspirem (4 sztuki — 4 wystawienia) i Shaw'em (3 sztuki — 4 wystawienia) na czele. Wprowadzono też nowe pozycje Balzac'a, Lope de Vegi i Calderona („Álkad z Zalamei").

Jest rzeczą znamienną, że przeszło ¾ z utworów klasycznych grywanych na naszych scenach — to komedie. Polskie komedie współczesne w większości wypadków nie zdały egzaminu. Wadą ich był zatęchły drobnomieszczański zapaszek, przerost pustych sytuacji farsowych, bądź też zbyt wąskie horyzonty satyryczne.

Kwestia ta stanowi ciągle poważny mankament naszego repertuaru, podobnie jak zbyt mała ilość sztuk krajów demokracji ludowej.

Ale twórcy polskiego teartu pragną walczyć o podniesienie poziomu ideowego i artystycznego naszych scen w myśl wskazań Prezydenta Bieruta:

„Nie wolno się nam zadowolić dotychczasowymi osiągnieciami. Jest naszym gorącym pragnieniem, aby powstały u nas dzieła godne naszej wielkiej epoki, godne naszego narodu".

Stanisław Marczak-Oborski

JORGE AMADO

KAMIENNY MUR*

Mariana zebrała delegację i na jej czele udała się do komandorowej da Torre. Działo się to w tym samym czasie, kiedy komitet strajkowy pertraktował z dyrekcją fabryki o nowe stawki płacy.

Komandorowa przyjęła je z przesadną, protektorską uprzejmością. Robotnice czuły się nieswojo w luksusowym, przeładowanym salonie i zerkały na siebie onieśmielone, nie wiedząc od czego zacząć. Komandorowa zrzędziła po matczynemu:

— Strajk... strajk... Przecież nie kto inny tylko ja kazałam podwyższyć wam zarobki. Nie powinnam tego robić, boście już wtedy przystąpili do strajku, nie biorąc pod uwagę kłopotów, jakich przyczyniacie tym właścicielce. Dlaczego nie przyszłyście ze mną pogadać, porozmawiać, wyznać, czego potrzebujecie, zamiast urządzać strajk i zatrzymywać całą fabrykę? Wszystko załatwilibyśmy w kilku słowach. Myślicie, że my, fabrykanci nie mamy kłopotów? Czasy są ciężkie dla wszystkich, a strajk spowodował duże straty. Opóźniacie produkcję, straciłam szereg zamówień. Ale, że mam dobre serce, żal mi waszych dzieci... Dlatego kazałam dać podwyżkę. Czemużeście do mnie wcześniej nie przyszły? Następnym razem porozumcie się ze mną, a nie słuchajcie komunistów, którzy chcą tylko krzywdy waszej i naszej. Mogłam oddalić wszystkich, lecz nie uczyniłam tego przez litość, bo też co byście później robiły? Głód... Tego właśnie pragną komuniści...

Mariana wykorzystała przerwę, aby wtrącić:

— Pani sama mówi, że powinnyśmy były przyjść na rozmowę, a więc teraz porozmawiajmy..

— O co wam jeszcze chodzi? — głos komandorowej stracił swój ton macierzyński, stał się podejrzliwy i twardy.

— Kilku towarzyszy nie wypuszczono jeszcze z więzienia...

— Bo to komuniści. Niech mają nauczkę...

— A zatem strajk będzie trwać nadal.

Komandorowa przyjrzała się stojącym kobietom, słowa Mariany skupiły je i już nie czuły się tak wystraszone jak na początku. Mariana znów podjęła:

— Warunkiem powrotu do pracy było podniesienie uposażeń i przyjęcie zwolnionych oraz zatrzymanych robotników. Wystarczy pani wstawiennictwo, by ich wypuszczono...

Komandorowa znów przybrała ton matczynej pobłażliwości, ton jakiego używa się wobec lekkomyślnych dzieci:

— Zwariowałyście, rozum żeście straciły i miłość do swych dzieci? Chcecie dalej strajkować, a przecież już teraz przymieracie głodem. Czym w końcu miesiąca opłacicie komorne? Szaleństwo... Jeżeli się uprzecie, uprę się i ja, a wówczas przegracie. Czyż nie dałam wam podwyżki? Czyż nie tegoście chciały? Pomyślcie o własnych dzieciach.

— Towarzysze dostali się do więzienia dlatego, że za nas walczyli. Musimy solidaryzować się z nimi. Chociażbyśmy miały głodować...

Komandorowa przebiegła wzrokiem grupę kobiet. Spodziewała się pognębić je słowami, ale widziała, jak zwarcie otaczały tę młodą dziewczynę o twarzy poważnej i skupionej; pomyślała wtedy o zamówieniach, o fabryce, która nie pracowała od trzech tygodni, o stratach w razie przedłużania się strajku. Mimo to zdobyła się na ostatni wysiłek:

— Wracajcie do pracy, pomyślę nad tą sprawą. Nie zależy to tylko ode mnie, lecz przede wszystkim od policji... Później zobaczę, co będę mogła zrobić.

— Pani komandorowo, my do pracy nie powrócimy, dopóki nasi towarzysze nie zostaną zwolnieni.

„Komunistka" — pomyślała komandorowa badając Marianę swymi młodzieńczymi oczami. Ta słodka i poważna buzia kogoś jej przypominała, pamięć ją jednak zawodziła. Miała tak różnorodne życie i tyle ludzi znała. Wahała się, czy ustąpić. Produkcja nie mogła dłużej czekać. Później, kolejno, pod różnymi pretekstami będzie mogła oddalić przywódców strajku i robotników bardziej aktywnych. Wyda dyrekcji odpowiednie zarządzenie.

Nie chciała, żeby jej decyzję robotnice przyjęły jako własne zwycięstwo, niech im się wydaje, że komandorowa czyni to przez dobroć. Starczy głos zabrzmiał jeszcze większą czułością:

— Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, że kogoś aresztowano. Moich robotników, powiadacie? Zasłużyli na to, ale każdego robotnika z moich fabryk traktuję jak członka rodziny i nie mogę patrzeć na czyjeś cierpienia... Oni pewnie mają rodziny... niewątpliwie zostali oszukani przez komunistów...

Ze zbitej gromadki wysunęła się jakaś kobieta i rzekła ze spuszczonymi oczyma:

— Jeden z nich to mój mąż.

— Twój mąż... Biedaczko... — komandorowa zdobyła się na przesadną litość. — To mnie przyprawia o chorobę, jestem stara, nie lubię widoku cierpień. Zatelefonuję do szefa policji zaraz, natychmiast... Przyszłyście mnie prosić... a tę nieszczęśliwą rozdzielono z mężem. Ale następnym razem miejcie się na baczności. Jeżeli znów zastrajkujecie, postąpię bez litości, rzucę was na pastwę śmierci głodowej...

Kobiety zbierały się do wyjścia. Osiągnąwszy swój cel, ogarniały teraz ciekawymi spojrzeniami ten wspaniały salon - figury, wielkie kryształowe lustra. Komandorowa zatrzymała Marianę:

— Jak się nazywasz, moje dziecko?

— Mariana de Azevedo.

— Azevedo... — komandorowa szukała w pamięci. Gdzie i kiedy słyszała to nazwisko?

— Jestem córką Antonia Azevedo, który przed kilkoma laty zmarł przy ulicy Caetano Pluto.

Teraz komandorowa przypomniała sobie wszystko: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni" — pomyślała wpatrując się w Marianę i spytała przyjaźnie:

— Jakże się miewa twoja matka? Czy też brała udział w strajku?

— Pracuje w innej fabryce...

„Tę przede wszystkim powinnam wydalić" — postanowiła komandorowa, ale nadal uśmiechała się życzliwie:

— Pozdrów matkę. Ojciec twój był wariatem, biedaczka nacierpiała się przez niego, nie idź w jego ślady...

Wyciągnęła upierścienione palce, Mariana dotknęła ich czubków. Stara uśmiechnęła się, ale jej młode oczy błyszczały złośliwie. Mariana odpowiedziała uśmiechem, zadowolona ze zwycięstwa. Dogoniła koleżanki w chwili, gdy odźwierny, znudzony i majestatyczny, otwierał przed nimi drzwi wejściowe. Kobieta, której mąż był uwięziony, zauważyła:

— Stara nie jest znów taka zła...

— A ty myślisz — ucięła Mariana, że ona każe wypuścić naszych przez litość nad tobą? Nic podobnego. Grała komedię — każe ich zwolnić tylko dlatego, żeby uniknąć dalszych strat w fabryce... Ma pilne zamówienia, które już i tak są opóźnione... Tylko dlatego, Antonieto. Tu nie ma ani krzty dobroci, ta stara jest zła jak sam diabeł.

W kilka dni później, kiedy praca w fabryce potoczyła się dawnym trybem, Marianę wezwano do dyrekcji. Kierownik — wysoki Włoch, znany jako świetny inżynier — powitał ją z wielką uprzejmością. Prosił, by zajęła krzesło naprzeciw jego biurka i zaczekała chwilkę, bo miał do załatwienia jakąś pilną sprawę. „O co mu chodzi?" — pytała sama siebie Mariana. Kiedy dostała to wezwanie, była pewna, że chcą ją zwolnić. Nie mogła zrozumieć uprzejmości kierownika. Pewien towarzysz z komitetu strajkowego niecc wcześniej został wyrzucony na ulicę pod pretekstem, że nie wykazuje dostatecznej gorliwości w pracy. Otrzymał miesięczne odszkodowanie według prawa vargasowskiego; chodziły słuchy, że ten sam los oczekuje pozostałych członków komitetu strajkowego. Komórka partyjna już poruszała tę sprawę, usiłując przygotować ruch protestacyjny, gdyby zwolnienia nie ustawały. Wydrukowano ulotki i rozdano je robotnikom. W całej fabryce rozprawiano na ten temat.

Kierownik skończył podpisywanie papierów i zwróciwszy się do Mariany zaczął:

— Mam dla ciebie dobrą nowinę. Byłaś z grupą robotnic w domu komandorowej przed kilku dniami. Tak? Zgadza się. Otóż komandorowa bardzo cię polubiła.

Wskazał na portret starej — który wisiał w głębi, obok portretu zmarłego komandora; przedstawiał panią da Torre sprzed pięćdziesięciu laty.

— Taka już ona jest... Jeśli ktoś jej się spodoba, natychmiast pragnie mu przyjść z pomocą. Proponuje ci posadę guwernantki w swoim domu. Prawdziwy dar nieba: dobra pensja, pięć razy tyle co tu, mieszkanie, wikt, odzież stosownie do zamożności domu, ewentualne podróże. Życzyłbym tego własnej żonie... A ponieważ, tyle ludzi odwiedza ten dom, a panienka ma ładny buziak; któregoś dnia znajdziesz chyba dobrą partię... Gratuluję..

Ciekawe, że Mariana słysząc tę niespodziewaną propozycję nie pomyślała ani o swym ojcu, ani nawet o swych towarzyszach z komórki czy z warsztatu, lecz o starym Orestesie. Gdyby to przyjęła. Orestes nigdy by nie wyciągnął do niej ręki, nie ucałował jej policzków, cmokając przy tym głośno wargami, które ocieniały bujne, szorstkie wąsy pachnące tytoniem. Stary Orestes zachował ze swych anarchistycznych czasów obrzydzenie do prac domowych, do obowiązków pokojowca, guwernera, majordomusa, według niego ci ludzie z racji swego zawodu nabywali pewnego służalstwa, mentalności właściwej niewolnikom i żebrakom. Mariana uśmiechnęła się myśląc o zawodzie, jaki sprawiłaby staremu, gdyby dowiedział się o jej nowym zajęciu. Spod sterczących wąsów wyrzucałby przekleństwa włoskie i gorzkie uwagi; w całej dzielnicy rozprawiałby o odstępstwie Mariany, wspominając działalność jej ojca.

Kierownik przyjął uśmiech Mariany za aprobatę.

— Możesz iść tam jutro z rana. Nie trzeba zabierać ubrania, dadzą ci inną, bardziej odpowiednią suknię. Każę ci wypłacić należność do dnia dzisiejszego i za jeden miesiąc urlopu.

Mariana wstała z krzesła:

— Bardzo dziękuję, doktorze Giovanni, ale ja tego nie przyjmę. Lubię pracę w fabryce, nie nadaję się ani nie mam dostatecznego wykształcenia na guwernantkę w domu ludzi zamożnych. Proszę powiedzieć komandorowej, że jestem jej bardzo wdzięczna, ale nie mogę tego przyjąć.

Zdziwienie kierownika było wielkie, a Mariana znów uśmiechnęła się wyobrażając sobie, jak to stary Orestes będzie podkręcał wąsa śmiejąc się do rozpuku, kiedy mu o wszystkim opowie.

Jorge Amado

Tłum. M. Hołyńska i E. Gruda

*) Fragment powieści odznaczonej Stalinowską Nagrodą Pokoju.

TADEUSZ ORLEWICZ

„WICHREM, KTÓRY OBALA TYRANÓW..."

BRAZYLIA jest największym krajem Ameryki Południowej: ponad 8 milionów kilometrów kwadratowych i około 45 milionów ludności, niegdyś ojczyzna kauczuku, dziś potężny producent kawy i mięsa. Dyktatura burżuazji wpędza ten bogaty kraj w otchłań nędzy i zacofania, wyprzedając jego suwerenność i bogactwa naturalne amerykańskiemu kapitałowi.

Powszechnie panujące stosunki feudalne w rolnictwie Brazylii hamują rozwój sił wytwórczych rolnictwa i hodowli. Wyzysk pańszczyźniany towarzyszy od kolebki do śmierci podstawowym masom ludności wiejskiej, liczącej 80 proc. ludności kraju. Rozwój przemysłu dyktowany jest potrzebami amerykańskich interesów. Amerykańska spółka naftowa „Standard Oil of Brasil" otrzymuje w ciągu roku 300 proc. zysku z kapitału zakładowego. Większe przedsiębiorstwa miejscowe wzorują się na dolarowych grabieżcach. W konsekwencji w Brazylii powszechnie praca odbywa się w warunkach niemal katorżniczych. Poziom płac jest szczególnie niski. Poziom cen wyśrubowany możliwie jak najwyżej.

Mycie bananów

W tym bogatym kraju 8 milionów ludzi choruje na malarię, 5 milionów — na syfilis, 12 milionów na dystrofię. Nie ma na dostateczne wyżywienie, nie ma na pomoc lekarską. Miliardy cruzeiros toną w kasach koncernów amerykańskich, tuczą kapitalistycznych handlarzy bydła z prezydentem Vargasem na czele, a dla narodu brazylijskiego pozostają nędzne ochłapy i rola tanich, zahukanych i posłusznych niewolników.

Minęły jednak bezpowrotnie czasy bezkarnej grabieży narodu i bezkarnego frymarczenia narodowym bogactwem. W roku 1917, w roku Wielkiej Rewolucji Październikowej, wybuchają pierwsze wielkie strajki robotnicze. Robotnicy brazylijscy nie błagają już teraz, nie proszą burżuazję o pomoc. Protestują czynem, coraz lepiej zorganizowanym, coraz bardziej świadomym. Robotnicy grożą miejscowej oligarchii, zdobywają dla siebie własnymi rękami prawa, pociągają za sobą chłopstwo, pracującą inteligencję. Powstaje w Brazylii nowa siła, która odtąd będzie przewodziła powstaniom ludowym, siejąc ziarna rewolucji w roku 1922, 1924, 1935, 1945.

W roku 1922 powstaje Komunistyczna Partia Brazylii. W dniu 5 lipca tego roku rozpoczął się pochód ludu brazylijskiego do wolności. Rewolucja w tym roku upada. Na piaskach najwytworniejszej i najpiękniejszej plaży Ameryki Południowej biją kulomioty burżuazji w garstkę, nieliczną jeszcze garstkę bohaterów. Na piaskach Copacabany pozostaje na zawsze krwią wypisane słowo: Wolność.

W dwa lata później rewolucjoniści znowu zrywają się do walki. W dniu tym Prestes, syn kolejarza, inżynier, nauczyciel i uczony odkłada na bok swoje przyrządy techniczne i wkłada mundur, by stanąć na czele rewolucji. „Był czas, gdy czarny lud Brazylii — pisze Amado — żyjący w niewoli i pogardzie, zrodził cud poezji w pieśniach Castro Alvesa. Niedopuszczony do głosu lud musiał wreszcie wybuchnąć krzykiem. Stworzył wówczas cud najpiękniejszego słowa. W wiele lat po tym cały naród Brazylii, zakuty w kajdany i nieszczęśliwy: lud czarnych, lud Indian kryjący się w głębi puszcz, lud białych, lud Mulatów, najurodziwszy na świecie, lud spętanych rąk i nóg, spragniony, głodny, pozbawiony wiedzy i miłości — wydał z siebie cud bohaterstwa — Luisa Carlosa Prestesa". Lud brazylijski nazwał go Rycerzem Nadziei.

W momencie, gdy rewolucja znowu łamała się pod przeważającymi siłami najemnych wojsk rządu z Rio de Janeiro, Prestes podrywa oddziały rewolucyjne do Wielkiego Marszu, by przejść wraz z nimi całą Brazylię od Rio Grande de Sul po Amazonkę, od Bahii do Matto Grosso. Przynosili ze sobą nadzieję i pozostawiali ją ludziom nieszczęśliwym. Dla nieuświadomionych dotychczas ludzi, których karki tkwiły w jarzmie wyzysku, przejście Kolumny Prestesa — to narodziny nowych nadziei, to wyrwanie ich z apatii, to pokazanie ludowi drogi, na której coraz jaśniej dla wszystkich wyzyskiwanych i uciemiężonych świeci gwiazda Wielkiego Października.

Ludzie Kolumny poszli na wygnanie. W kraju zostawili ogromne zarzewie nowych dni i nowych walk. Prestesa nie ma w kraju. Ale jest lud Brazylii i lud jest z Rycerzem Nadziei, który w swoim manifeście z roku 1930 wskazuje proletariatowi brazylijskiemu jedynie słuszną drogę: przyjęcie linii Partii Komunistycznej, popieranie tej partii i zasilanie jej szeregów. Powstaje w kraju na szerokiej bazie społecznej budowany Związek Wyzwolenia Narodowego, antyfaszystowski, antyimperialistyczny ruch mas pracujących. Na wezwanie ludu Prestes wraca do kraju. Zbrojne powstanie znowu zostaje stłumione przez rząd Vargasa, bogatego handlarza bydła, wówczas przyjaciela Hitlera, dziś lokaja Morgana i Achesona. Prestes zostaje aresztowany.

„Noc terroru — pisze o tych dniach Amado. — Beznadziejna, przytłaczająca noc... Policja miała za sobą wszystkie prawa, naród żadnego. Bano się własnego głosu. W ciszy domów przerażeni ludzie mówili szeptem o zbrodniach rządu. Powietrze drgało od jęków męczonych mężczyzn i kobiet, umierających w potwornych więzieniach". Sądzą Prestesa najemnicy faszyzmu. Prestes nie broni się, lecz oskarża. Słowa jego jak bicz ognisty chłostają wrogów ludu, rodzimych i obcych. Prestes rzuca w twarz sędziom najemnikom: „Chcę wykorzystać okazję i przemówić do ludu brazylijskiego, aby złożyć hołd jednemu z największych wydarzeń w historii świata — Wielkiej Rewolucji Październikowej, która wyzwoliła ludy spod panowania tyranii, a której dwudziesta trzecia rocznica przypada w dniu dzisiejszym". Był to dzień 7 listopada 1940 roku. Wyrok łączny: czterdzieści sześć lat i osiem miesięcy.

Nie mogły jednak oddzielić kraty więzienne Prestesa od jego ludu. „Faszyzm jest nieszczęściem świata, nie ma większego niebezpieczeństwa od faszyzmu" — pisał wtedy Prestes. I lud brazylijski przed wojną i w latach wojny przeciwstawiał się faszyzmowi strajkami, demonstracjami, walką o prawo do życia w wolnym kraju, nie dopuścił do zbratania się Brazylii z Włochami, Japonią i hitlerowskimi Niemcami.

Nazajutrz po zwycięstwie Armii Radzieckiej nad faszyzmem, kiedy runęli protektorzy Vargasów spod znaku rózeg liktorskich i swastyki, postawa całego narodu Brazylii i głos całego świata postępu otworzyły przed Prestesem bramy więzienia. Ale Rycerz Nadziei, płomienny rewolucjonista, przywódca Partii i narodu, staje się równie niebezpiecznym wrogiem macherów z Wall Street jak ich poprzedników z Kancelarii Trzeciej Rzeszy. Odżywiani na dolarowym chlebie bezojczyźniani handlarze bydłem i wolnością narodów wpędzają Partię a z nią Prestesa w podziemie. Rozesłane za nim listy gończe wiszą już od paru lat na murach miast i na domach wiejskich. Za głowę Prestesa faszyści wyznaczyli milion cruzeiros. Ale Prestes jest, żyje wśród ludu. Lud go chroni. Lud walczy nieustraszenie pod jego przewodem w coraz częstszych strajkach, w masowych wystąpieniach brazylijskich chłopów i robotników rolnych w obronie prawa do życia i do chleba w wolnej od amerykańskich imperialistów ojczyźnie, walczy o reformę rolną, o płace, o wolność zrzeszania się. Walczy w masowym ruchu obrońców pokoju o ochronę najwyższych wartości ogólnoludzkich i ogólnonarodowych. 1.700.000 podpisów pod Apelem Światowej Rady Pokoju — to w warunkach ponurej rzeczywistości brazylijskiej 1.700.000 świadomych, zdecydowanych żołnierzy sprawy pokoju i postępu.

Plantacja bawełny

W podziemiu bije nieustraszone serce i sumienie narodu brazylijskiego, sumienie i serce klasy robotniczej, spętanej w wyzysku imperialistycznym, chłopstwa i robotników rolnych, spętanych w podwójnym wyzysku: feudalnym i kapitalistycznym, postępowej części inteligencji brazylijskiej. Trwa i walczy Komunistyczna Partia Brazylii pod przewodem Prestesa, którego Amado nazwał: „gwiazdą wśród ciemnej nocy, huraganem ludu, błyskawicą, wichrem, który obala tyranów".

Tadeusz Orlewicz

JAN GITLIN

VIVA STALIN! VIVA PRESTES!*)

Po uwolnieniu Prestesa w maju 1945 roku, na zebraniach, na których przemawiał, gromadziło się nieraz pół miliona osób. Partia Komunistyczna była jedyną partią ze wszystkich zdelegalizowanych, która, wychodząc z podziemia, nie musiała się organizować od nowa. W ciągu jednego roku od chwili zwolnienia Prestesa, partia ta stała się jedną z najsilniejszych partii Brazylii, liczyła ponad 150 tysięcy członków, posiadała siedem dzienników i czasopism, nie wliczając w to wydawnictw książkowych i broszurowych.

Reakcja obawiała się Partii Komunistycznej. Toteż w maju 1947 roku rząd Dutra zdelegalizował Partię Komunistyczną, a w styczniu następnego roku wykluczył komunistów z obu izb parlamentu. Pod pozorem walki z komunistami, Dutra zwalczał wszystkie elementy postępowej burżuazji demokratycznej. Faszyzacja kraju postępowała naprzód milowymi krokami. W październiku 1947 roku Dutra zerwał stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Radzieckim, a w początkach 1948 roku oddał eksploatację terenów naftowych amerykańskim monopolom. Było to bezpośrednim następstwem wizyty Rockefellera w Rio de Janeiro. Na Konferencji Pan-Amerykańskiej w Bogocie w 1944 roku, rząd Brazylii był jednym z pierwszych rządów republik łacińskich, które wystąpiły na rozkaz Departamentu Stanu, z inicjatywą antykomunistycznej rezolucji. Rząd Dutry, jak obecnie rząd Vargasa, spełniał niezmiennie wszystkie najbrudniejsze prace, zlecone mu przez Departament Stanu, na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Dutra oddał także amerykańskiemu sztabowi bazy morskie i lotnicze swojego kraju.

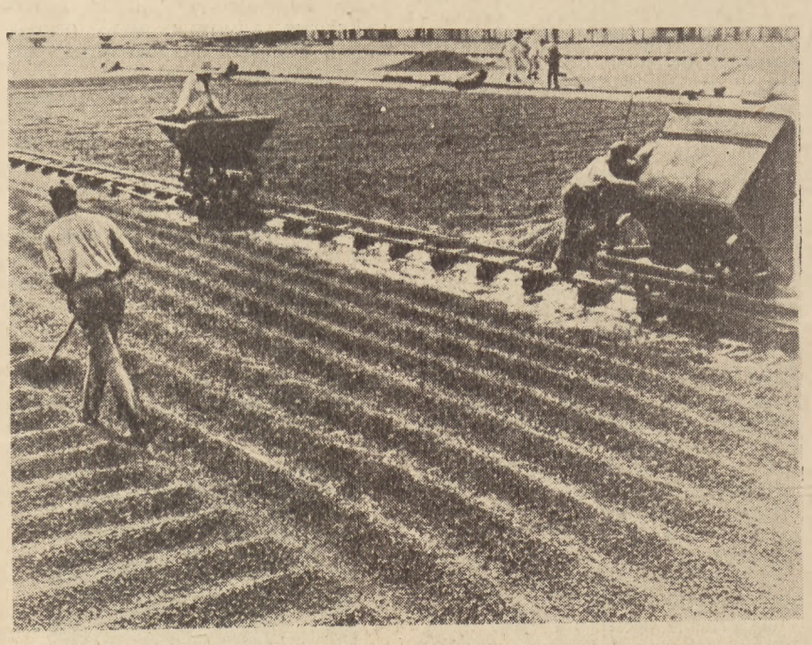

Suszenie kawy

Nacinanie drzew kauczukowych

Przed nowymi wyborami rząd Brazylii zwrócił się do amerykańskiego Gestapo Federal Bureau of Investigation, prowadzonego przez mister Hoovera, by przysłali agentów celem odnalezienia miejsca pobytu Prestesa, co im się zresztą nie udało, bowiem robotnicy brazylijscy nie zdradzą kryjówki swojego bohaterskiego przywódcy.

Komunistyczna Partia Brazylii, działająca z ukrycia, bez legalnej prasy, przy ciągłych prześladowaniach, które rwały ciągłość jej pracy, wydała program wyborczy, który głosił stworzenie demokratycznego rządu, politykę przeciwko wojnie, rozdział ziemi pomiędzy chłopów, unarodowienie transportu, bogactw naturalnych i banków, wprowadzenie gospodarki niezależnej od imperializmu światowego, rozwój szkolnictwa, oświaty i kultury, oraz stworzenie ludowej armii wyzwolenia narodowego.

I mimo, że wybory „wygrał" Vargas przy pomocy siły i oszukańczych manewrów, naród brazylijski popiera nadal program Prestesa. Obecnie cała już Brazylia żyje pod znakiem wielkiego wzbudzenia mas pracujących. Utrwala się i wzmacnia front zjednoczenia narodowego, propagowany przez Komunistyczną Partię. Ten front był jedyną siłą, która zmusiła rząd do odmowy wysłania na Koreę korpusu, złożonego z 20 tysięcy żołnierzy brazylijskich.

Walka brazylijskiej klasy robotniczej wzmaga się, rośnie jej bojowość. Strajki przybierają charakter masowy. W maju 1951 roku kolejarze stanu Santa Catharina ogłosili strajk na znak protestu przeciwko odmowie podwyższenia płac. Do strajku tego dołączyli się kolejarze Porto Alegro, a na znak solidarności — tramwajarze i szoferzy oraz portowcy Belem.

W sierpniu 1951 roku 300 tysięcy mieszkańców stanu Ceara na północy Brazylii, opuściło miasto po klęsce suszy i owładnęło sąsiednimi miastami, domagając się żywności i pomocy od rządu.

Od października 1950 roku Vargas jest powtórnie prezydentem Brazylii. Ale walka frontu wyzwolenia narodowego, która jest walką o pokój, nie ustaje ani na chwilę, potężnieje z każdym dniem, mimo aresztowania czołowych przywódców ruchu, jak na przykład Roberta Morena, sekretarza Brazylijskiej Federacji Pracujących, mimo prześladowania tysięcy aktywistów pokoju. Pod Apelem Sztokholmskim zebrano aż 5 milionów podpisów, co jest olbrzymią liczbą, jeśli mieć na uwadze prześladowania, odległości między ośrodkami robotniczymi i trudności w utrzymaniu łączności. Jedna z aktywistek ruchu pokoju, 40-letnia Lazara da Paiva, zebrała aż 22 tysiące podpisów i została odznaczona Złotym Medalem Światowej Rady Pokoju.

Vargasowi wydawało się, że zwalczy, że zdusi ruch w walce o pokój. Ale ruch pokoju w Brazylii jest dużo silniejszy niż Vargas. O tym mógł się już przekonać, czekając na przejęcie władzy od Dutry. Pamiętny był grudzień 1949 roku. Brazylijska klasa robotnicza obchodziła w tym miesiącu dwie wielkie rocznice: 70-lecie urodzin Stalina i 52-lecie urodzin swojego przywódcy, Prestesa. Policja otoczyła miasta, zakazała wszelkich demonstracji i zebrań. Nie zdało się to na nic. Na wody zatoki Cuanabara w pobliżu Rio de Janeiro lud rzucił wianki, ozdobione chorągiewkami z napisami: „Viva Stalin, Viva Prestes". Policja i kordon wojska otoczył zatokę, wyławiając wianki. Wśród zgromadzonych tłumów ktoś rzucił wezwanie, by spojrzeli na góry. Na szczycie Corcovado najwyższym wśród gór, otaczających miasto — 10-metrowej wysokości i na dwa metry szerokie litery, widoczne z najdalszych zakątków miasta, składały się na słowa: VIVA STALIN.

Wypalanie kauczuku

Jan Gitlin

*) Fragment książki o Brazylii.

ZENONA MACUŻANKA

Pisarz Chin Ludowych

Czao Szu-li to jeden z najpopularniejszych pisarzy Ludowych Chin. Droga rozwoju literatury chińskiej, uwarunkowana ogólnymi procesami społeczno - politycznymi, wyznaczyła wstępującą wciąż linię twórczości tego młodego pisarza chińskiego. W czasie, w którym święcimy drugą rocznicę wolności wielkiego narodu, warto — bilansując naszą znajomość kultury chińskiej — pokusić się o szerszą ocenę twórczości Czao Szu-li, którego znamy w Polsce z dwóch pozycji: pierwsza to „Piosenki Li Ju-tsaja", nowsza, to „Przemiany w Liciaczuangu".

Czu Yang ukazał w swoim interesującym artykule, podsumującym dorobek literacki Chin Ludowych („Literatura Chin Ludowych", - „Nowa Kultura", 40/51), drogi rozwoju, jakimi kroczy literatura w jego wielkim kraju. Analizując stan literatury, Czu Yang wskazuje na duże znaczenie, jakie dla jej rozwoju miało przemówienie Mao Tse-tunga, który w 1942 r. postawił przed twórcami literatury wielkie zadanie: konieczność włączenia się pisarzy w walkę narodową i społeczną toczoną przez najbardziej postępowe elementy w kraju. Przełom zapoczątkowany konferencją w Yenanie zadecydował o wzrastającej wciąż wartości społecznej i artystycznej literatury chińskiej, uzbroił walczący lud w potężny oręż mobilizujący i wychowawczy. Bohaterami literatury stali się ci, którzy decydowali o największym przełomie społecznym w dziejach narodu chińskiego. Jednocześnie z wyzwalaniem się Chin spod ucisku japońskiego i imperialistycznego oraz niewoli rodzimych wyzyskiwaczy, pisarze — odtąd wierni obserwatorzy, równocześnie współwalczący z ludem — wzbogacali literaturę wciąż nowymi pozycjami, które były uogólnieniem „na gorąco" zdobywanych doświadczeń. Młoda literatura chińska nie bała się sięgać po najświeższe, jeszcze nie zakończone procesy, ukazywała w rozwoju nowych bohaterów, których dopiero kształtowała historia. Pięknie o tych właśnie procesach zachodzących w literaturze chińskiej napisał Czu-Yang we wspomnianym artykule. *„...Żyjemy w okresie walki i czynu. Widzieliśmy na własne oczy wielu bohaterów i przodowników pracy, którzy wyszli z naszego ludu. Są oni wielcy a przecież jednak zwyczajni. Tworzą historyczne cuda. Jakże więc możemy ich uczcić, tych ludzi kształtujących historię, jeżeli nie poprzez pieśni i poematy, wysławiając ich czyny. Nawet jeżeli naszkicujemy tylko ich postacie, zasłużymy na łagodniejszy wyrok historii, niż gdybyśmy nie pisali o nich wcale..."*

Oto piękny przykład wnikliwej i głęboko socjalistycznej krytyki. Ale sprawy wspomniane przez Czu Yanga stały się nie tylko troską krytyka — młoda literatura chińska potraktowała je jako swoje naczelne zadanie. Troska o nowego, kształtującego się człowieka, umiejętne pokazanie jego trudów i bohaterstwa— oto zadanie zaszczytne, ale i trudne. Wziął je również do serca Czao Szu-li, pisarz ludowego pochodzenia, a więc nie tylko obserwator, ale i współuczestnik niedoli ludu; sięgnął po zaszczytne zadanie historyczne. Na jaki wyrok historii zasłużył? Jak pokazał *„tych wielkich a jednak zwyczajnych ludzi"*? Oto pytanie...

„Piosenki Li Ju-tsaja" od razu zdobywają uznanie kręgów czytelniczych i krytyków. Mała książeczka, o niezwykle prostej, nieskomplikowanej fabule, jest wydawana w niespotykanym dotąd nakładzie. Rodzajowo „Piosenki" są trudne do określenia — jest to napoły reportaż, napoły gawęda, przeplatane piosenkami Li Ju-tsaja. Piosenki te — proste, pełne ludowego humoru, świetnie podchwytują wady ludzi, wyszydzają głupotę i okrucieństwo kliki wyzyskiwaczy wiejskich. Lud, który żywi do swych ciemiężycieli głęboką nienawiść, radośnie podchwytuje świeżo tworzone teksty piosenkowe. Mobilizują one wieś w jej oporze przeciwko wiejskim bogaczom, ukazują mniej uświadomionym chłopom „mechanizm" walki klasowej.

Najciekawszą postać w powieści reprezentuje właśnie autor piosenek — Li Ju-tsaj. Jest to 50-letni pastuch krów we wsi, nosi piękny przydomek: „ten, którego gniew nie zgubi". Ju-tsaj reprezentuje nowego, pozytywnego bohatera. Biedak, nieposiadający ziemi, a z racji tego stojący jakby na marginesie życia wsi, na skutek zachodzącej przemiany w układzie stosunków społecznych włącza się w główny nurt życia. Piękne i pouczające są jego dzieje w tym okresie — przez całą powieść śledzimy jego udział w walce o władzę ludową we wsi Jen Czia-Szan, podziwiamy jego dowcip i śmiałość; zakończenie książki, w którym Ju-tsaj otrzymuje awans na nauczyciela ludowego, stanowi jeden z najpiękniejszych momentów książki.

W powieści Czao Szu - li nie ma prymitywnego przeciwstawienia czarnych i białych charakterów. Ludzie są prawdziwi i przechodzą ciągłe przeobrażenia — w trakcie rozgrywającej się walki klasowej biedacy dojrzewają, hartują się do dalszej walki. Z pasją demaskatorską obnaża Czao Szu-li wszystkie podłości i krętactwa Jen Heng-juana, który wykorzystuje każdą słabość i brak uświadomienia biednych chłopów, usiłując stworzyć w nowych warunkach społecznych na terenach wyzwolonych Chin sytuację, w której w dalszym ciągu jest „panem i władcą".

Konflikty wsi Jen Czia Szan są typowe dla wszystkich wsi na terenach wyzwalanych przez Armię Ludową. Często spotykane były sytuacje, w których mała ilość słabo wyrobionych aktywistów prowadzi lud do walki przeciwko chytrym i mądrym „lisią mądrością" bogaczom wiejskim. Ale świadomość ludu narasta szybko — przemiany społeczne, w które początkowo trudno uwierzyć, mobilizują biedotę wiejską przeciwko swym długowiekowym wyzyskiwaczom. Dlatego właśnie Jen Czia - Szan odnosi w końcu zwycięstwo nad Jen Heng-Juanem.

„Przemiany w Liciaczuangu" podnoszą ten sam problem — walki chłopa o przebudowę życia na wsi. O ile jednak „Piosenki" stanowiły proste, „reportażowe" opowiadanie o nieskomplikowanej kompozycji i słabo rozbudowanym tle społecznym toczącego się konfliktu, o tyle „Przemiany" ukazują zagadnienie w bardziej rozbudowanej fabularnie całości, dając jednocześnie dużo bogatszy materiał historyczny, przedstawiając liczniejszą i bardziej przez pisarza opracowaną galerię bohaterów. „Przemiany w Liciaczuangu" to wyraźny dalszy krok naprzód w twórczości Czao Szu-li.

I znów głównym przedmiotem uwagi pisarza są ludzie — twórcy historii. Do charakterystyki bohaterów Czao Szu-li dadzą się z powodzeniem zastosować uwagi Czu Yanga: *„...Ludzie nie rodzą się bohaterami, lecz stają się nimi w ogniu walki"*. Postacie stworzone we wspomnianej powieści stają się właśnie bohaterami w obliczu konkretnych zadań, wyrastających przed nimi w trudnym okresie historycznym. Takim typowym przedstawicielem nowego bohaterstwa ludowego jest młody wieśniak Tie-so. Reprezentuje on według słów Kriwcowa (we wstępie do wspomnianej książki) *„typ wyzwolonego chińskiego chłopa, a więc nieustępliwość wobec wrogów swego narodu, zdrowy rozsądek i głód wiedzy, szlachetność i ofiarność"*. Na przykładzie konstrukcji dziejów tego bohatera ukazuje Czao Szu-li proces awansu społecznego i narastania świadomości w biedniackich masach chłopskich. Tie-so nie urodził się od razu na bohatera pozytywnego — z biednego, zahukanego chłopa małorolnego, oszukiwanego przez Li Żu-czena wyrasta świadomy komunista, przywódca walki klasowej i narodowej w swojej wiosce.

W powieści poznajemy duży okres historii Chin w najcięższym etapie: walki z najeźdźcą japońskim i z wewnętrznym wrogiem — sprzedajną kliką bogaczy. Akcja toczy się głównie na przestrzeni lat 1928—29, kończy się w roku 1945. Pisarz, operując tak szerokim okresem historii, nie zagubił się w rejestrowaniu suchych szczegółów — pokazał dzieje narodu poprzez sprawy ludzi na wybranym przez siebie odcinku życia, a selekcjonując trafnie materiał stworzył obrazy typowe i prawdziwe.

Czu Yang w cytowanym już kilkakrotnie artykule tak ocenia twórczość Czao Szu-li: *„...Przykładem takiej prawdziwie narodowej literatury jest twórczość Czao Szu-li, pisarza niezwykle popularnego w Chinach Ludowych. Popularność swą osiągnął Czao Szu-li nie tylko dzięki wysokiej wartości ideologicznej jego dzieł, wykazujących głębokie zrozumienie środowiska wiejskiego, układu stosunków klasowych na wsi, powikłań walki klasowej i wpływu tej walki na postawę i działalność występujących w akcji postaci. Osiągnął on ją również dzięki swemu językowi, który jest rzeczywiście językiem mas przez swą prostotę, naturalność, brak wszelkiej sztuczności i napuszenia"*. Książki Czao Szu-li, to dobry przykład socjalistycznej treści w specyficznej, narodowej formie.

Zenona Macużanka

W POPRZEDNIM NUMERZE:

S. OPYRCHAŁ — Warszawa — miasto pokoju. *JERZY PYTLAKOWSKI* — I tak można żyć. *W. KOWALSKI* — Nowy człowiek. *D. BIEDNYJ* — Moskwa — Warszawie. *W. ZAMIATIN* — Warszawa. *M. TICHONOW* — Warszawa — miasto pokoju. *S. CIEŚLAK* — Zakopani w gospodarstwie. Wypowiedzi chłopów. *T. MURAS* — Jak rosną nowi ludzie. *Z. SZPROKOFF* — Mistrzowie „małych form". *S. SKULSKI* — O ruchu robotniczym w Ameryce. *Z. RZEPLIŃSKA* — Reflektorem „białej księgi". *N. HIKMET* — List Mechmeta, syna Nazima do Francji. — *E. NIZIURSKI* — Postrach wielkiej budowy. *Z. POLSAKIEWICZ* — W Urzędzie Stanu Cywilnego. *W. KODRYŃ* — Młoda i jeszcze młodsze. *G. TIMOFIEJEW* — Pisarze wobec wielkich budowli komunizmu. GAZETKA GMINNA.

JÓZEF SPINC

Co czyta wieś radziecka?

W jednym z grudniowych numerów „Litieraturnoj Gaziety" ukazał się artykuł pt. „17 zagród rosyjskich" — nadesłany przez specjalnego korespondenta czasopisma, L. Juszczenko, z dalekiej wioski Podachany, zarzuconej wśród lasów na północnym krańcu obwodu Kirowskiego, o dziesiątki kilometrów od linii kolejowej. Juszczenko przeprowadzał w Podachanach ankietę oświatowo-czytelniczą.

„Podachany — czytamy w korespondencji — to niewielka wioska, typowa dla tego surowego kraju północnego. W Podachanach — 17 zagród, jedna krótka ulica na skraju lasu, dopiero co wybudowana świetlica..., słupy sieci elektrycznej i pajęczyna anten nad ciemnymi ciosanymi dachami".

Pierwszy wypełnił ankietę 35-letni kołchoźnik Fiodor Słabożaninow. Ukończył 5 klas, zajmuje się samokształceniem. Słabożaninow — amator nowości wydawniczych.

Oto powróciła z rejonu (Podachany znajdują się w rejonie darowskim) bibliotekarka podachańskiego kołchozu „Stalinowiec" Murawiewa. Zobaczywszy w jej rękach stertę książek Słabożaninow zapytał:

— Przywieźliście drugi tom „Donbassu"?

(Zajmująca powieść B. Gorbatowa, której tom II jeszcze nie ukazał się w wydaniu książkowym — J.S.).

— Nie ma go jeszcze. Przecie wam mówiłam; nie wyszedł, czy jeszcze nie napisany, skądże ja mogę wiedzieć?...

— Mówili... — rzekł nieufnie Słabożaninow — w Moskwie dawno czytają, a nam na ostatek...

— Któż wam to mówił? — pąsowiejąc wybuchnęła Murawiewa.

— Mówili w rejonie... — odpowiedział wymijająco Słabożaninow.

Na pytanie korespondenta „Litieraturnoj Gaziety", jakie z przeczytanych książek podobały mu się najbardziej — Słabożaninow odrzekł po dłuższym namyśle.

— Takie, co pobudzają naszą energię, co uczą nasz naród żyć i pracować. Na ten przykład: „Kawaler Złotej Gwiazdy", „Światło nad ziemią". Tej zimy też zaczynamy budować własną elektrownię kołchozową. I ciekawi jesteśmy dowiedzieć się, jak to było u innych, poduczyć się. W ogóle — takie książki, które pokazują nasze życie takie, jakie jest naprawdę, bez zmyślania.

A oto odpowiedzi ankietowe przewodniczącego kołchozu W. Goriewa: „Lat 37. Wykształcenie — wyższe. Ojciec i matka byli półanalfabetami... W rodzinie nie ma analfabetów. Dzieci uczą się w szkole podstawowej i średniej. Na prenumeratę gazet i czasopism, na zakup książek wydałem w tym roku około 500 rubli. Biblioteka osobista — 120 książek. W ostatnim roku przeczytałem 50 książek. Z książek tych najlepiej zapamiętałem: „JASNY ZDRÓJ" N. Borysowa, „ŻYWĄ WODĘ" A. Kożewnikowa, „JASNY BRZEG" W. Panowej, „WIELKĄ DROGĘ" W. Ilienkowa".

Juszczenko obszedł wszystkie 117 zagród. Ankieta gotowa. Wynika z niej, że w ostatnim półroczu największą poczytnością wśród mieszkańców Podachan cieszyły się następujące powieści radzieckie: „ŻNIWA" H. Nikołajewej, „WIELKA DROGA" W. Ilienkowa, „KAWALER ZŁOTEJ GWIAZDY" i „ŚWIATŁO NAD ZIEMIĄ" S. Babajewskiego, „BURZA" I. Erenburga, „BIAŁA BRZOZA" M. Bubiennowa, „BURZA" i „SYN RYBAKA" W. Łacisa; „CHORĄŻOWIE" O. Gończara i „JASNY BRZEG" W. Panowej.

Lista ta nie odzwierciedla jednak w sposób wyczerpujący istniejących zainteresowań czytelników wiejskich. Pierwszy sekretarz darowskiego rejonowego komitetu partyjnego Olga Kulikowa wyjaśniła korespondentowi „Litieraturnoj Gaziety":

— Gdybyśmy mogli całkowicie zaspokoić nasze potrzeby czytelnicze, w waszym spisie ulubionych książek umieszczono by znacznie więcej tytułów. Brak nam książek. I teraz trzeba więcej mówić raczej nie o tym, co czytają kołchoźnicy, lecz o tym, czego nie mogli przeczytać.

Brak książek, to znaczy egzemplarzy — zwłaszcza nowowydanych książek. Pęd do książki jest tak wielki, że mimo kolosalnie rozbudowanej sieci bibliotecznej i księgarskiej trudno zaspokoić niewyczerpany popyt na książki.

Radzieckie wydawnictwa wyrzucają na rynek księgarski ogromną ilość książek w milionowych nakładach, nie mogą jednak nadążyć za wzrastającym ciągle zapotrzebowaniem literatury politycznej i naukowej, fachowej i pięknej. W opisywanym przez korespondenta „Litieraturnoj Gaziety" rejonie darowskim zasób książek w bibliotekach wynosi — 100 tys. tomów. I wszystkie są rozchwytywane. Wiele książek jest nie tylko przeczytanych — lecz dosłownie wyczytanych. Księgarnia rejonowa nie może zaspokoić kolosalnego popytu na literaturę piękną.

„Ten rejon — kończy Juszczenko — nie stanowi wyjątku w obwodzie kirowskim, chociaż zasób książek 343 bibliotek w obwodzie nie licząc bibliotek związków zawodowych przekroczył 3 miliony tomów".

Interesująca i charakterystyczna dla czytelnictwa radzieckiego korespondencja z dalekiego dorzecza Wiatki rzuca snop światła na to ważne zagadnienie.

Człowiek radziecki, mieszkaniec wsi radzieckiej interesuje się nie tylko książką, nie tylko umie czytać i umie o niej wydać sąd (do tego jeszcze powrócę). W noworocznym numerze „Litieraturnoj Gaziety" ukazał się taki list czytelniczki.

„Szanowni Towarzysze! W naszej wsi Krupino (Kołchoz im. Kaganowicza), w rejonie Pawłowo — Posadzkim, w obwodzie moskiewskim, przed rokiem otwarto księgarnię. Było to dla nas wielkim wydarzeniem. Kołchoźnicy bardzo chętnie kupują książki — nie tylko literaturę rolniczą, lecz także literaturę piękną.

Lecz kołchoźnicy interesują się nie tylko książkami, ale i ich autorami. Często mnie zapytują, jak rozpoczęli swoją działalność literacką pisarze radzieccy, jak układało im się życie. Niestety, na wiele z tych pytań nie umiem odpowiedzieć. Proszę więc redakcję, by to uczyniła. Załączam spis pisarzy, o których chciało by się zasięgnąć informacji.

A. Kosarewa
kierowniczka księgarni"

Kosarewa załączyła listę 50 pisarzy radzieckich — starszego pokolenia, w średnim wieku i tych najmłodszych, początkujących. Wymowny ten dokument epoki stalinowskiej, dokument rozkwitu socjalistycznej literatury i socjalistycznego cytelnictwa — zaprawdę nie wymaga bliższego omówienia.

Rezolutna kierowniczka krupińskiej księgarni wiejskiej z całym zaufaniem zwróciła się do redakcji gazety literackiej. I nie zawiodła się. Redakcja opracowała odpowiedź w formie zajmującego artykułu „O autorach ulubionych książek".

Radziecka prasa literacka — podobnie jak cała prasa w Kraju Rad — zwrócona jest frontem do czytelnika, masowego odbiorcy, bohatera i współtwórcy literatury realizmu socjalistycznego. Rubryki i kolumny p.n. „CZYTELNICY i KIĄŻKI", „CZYTELNICY O KSIĄŻKACH", „TRYBUNA CZYTELNIKA" itp. istnieją w „Litieraturnoj Gazietie", w miesięcznikach literackich: „Nowyj Mir", „Zwiezda" i in. Coraz częściej, coraz śmielej wiejski czytelnik radziecki zamieszcza na łamach pracy literackiej swój głos o literaturze i jej sprawach, o książkach i ich autorach. W wielu wypadkach są to dojrzałe, wnikliwe recenzje czytelnicze.

Józef Spinc

Z prasy radzieckie

O małej formie prozatorskiej

BOGATA rzeczywistość radziecka mobilizuje pióra pisarzy do wielorakich gatunków literackich. A więc parę przykładów: powieść-rzeka, powieść-monografia. Znane są i ogólnie cenione wielotomowe arcydzieła jak „Cichy Don", „Siostry" czy powieści historyczne Szyszkowa. Ale trzeba też docierać do czytelnika w małej formie. Szkic, opowiadanie, reportaż, notatnik, dziennik, uwagi z podróży stanowią ten operatywny gatunek literacki, który towarzyszy wiernie przeobrażeniom wielkiej stalinowskiej epoki i podając ścisłe realia odnotowuje zarazem, jak żyje i co czuje człowiek radziecki, jak przemienia się, jak rośnie z dnia na dzień. Z uwagi na swoje rozmiary mała forma znajduje dla siebie pomieszczenie w dziennikach o wielomilionowych nakładach, przemawia ze szpalt gazet wraz z wiadomościami politycznymi. „Prawda" często korzysta w tym zakresie z piór literackich, drukuje Polewoja, Panowa, Kożewnikowa i innych. Z drugiej strony, mała forma pozwala uchwycić oglądany obraz rzeczywistości, natychmiast, szybko jak aparat fotograficzny. Powieść wymaga czasu, proza o małej formie może ukazywać się w publikacji nazajutrz, lub w parę dni po spotkaniu pisarzy z interesującymi ich ludźmi i zagadnieniami. Mimo pozorów praca literacka tego rodzaju oddziaływuje na długi dystans. Nie ginie w powodzi czasopism, lecz utrwala się w druku książkowym. A wydany tom stanowi nie tylko cenny drogowskaz czasu, ale i zasób wiedzy warsztatowej o gatunku małej formy, przykład, który pomaga innym obserwować życie, pisać..

Gatunek małej formy jest szczególnie potrzebny u nas. Realizując Plan Sześcioletni, powinniśmy dozbroić budowniczych entuzjazmem pracy, świadomością wielkich celów. Powinniśmy pokazać, jak na polu budownictwa codziennie rosną nowi ludzie, jak zmieniają się, jak dorastają do olbrzymich zadań, stających przed nimi. Mała forma prozatorska obserwuje ten proces in statu nascendi, chwyta obrazy, utrwala je jak migawkowe zdjęcia.

Sięgając po przykład do literatury radzieckiej pragnę wskazać na osiągnięcia w zakresie małej formy prozatorskiej. Pracują w tym zakresie najwybitniejsi pisarze radzieccy tej miary co K. Simonow, W. Iwanow, M. Szaginian, W. Wasilewska, B. Polewoj, W. Kożewnikow, H. Nikołajewa, W. Panowa, którzy odtwarzają życie codzienne kraju budującego komunizm.

W. Wieliczko w szkicach „Ujarzmienie pustyni Kara-Kum" i „Twórcy nowej przyrody", P. Nikitin w opowiadaniach „Na kanale Wołga — Don", K. Łapin w notatniku „Kujbyszewski węzeł wodny" i inni mówią o przebiegu prac na trasach wielkich budowli. Lecz pisarz radziecki, opisując gigantyczne osiągnięcia techniki pamięta, że ośrodkiem jego zainteresowania powinien być człowiek. Ludzie nie szczędzą pracy i czasu, gdyż uważają sprawę budownictwa za rzecz własną, bliską, za rzecz całego narodu. Pisarze dociekają charakteru tych uczuć. W jednym ze szkiców M. Szaginian zauważa: „Człowiek chce już dawać według zdolności, chce dawać więcej niż się od niego żąda, chce użyczać darów miłości, nie żądając w zamian nic ponad zaspokojenie swoich potrzeb".

Z wysokości wielkich budowli komunizmu widzi się świat szeroko i daleko. Autorzy małej formy zabierają częstokroć głos w sprawach międzynarodowych, aby tym silniej uwydatnić pokojową rolę Związku i znaczenie osiągnięć stalinowskiej epoki. Taką wymowę ma zbiór szkiców i obrazków W. Połtarackiego pt. „W drodze i w domu". W drodze tzn. za granicą w Paryżu i New-Yorku, gdzie Połtaracki przebywał jako korespondent „Izwiestij".

Oto „Jesień paryska", Francja, w której nad bramą więzienia centralnego widnieje hasło wielkiej rewolucji francuskiej „Wolność, równość i braterstwo", Francja, w której wypowiedziane z rana słowa ministra spraw wewnętrznych „Petit Charles wstaje o godzinie czwartej" stanowią szyfrowy sygnał do ataku czołgów i lotnictwa na bezbronnych górników. Połtaracki umiejętnie komponuje opis i fabułę; wysoką wartość szkiców radzieckich stanowi ich pełne bojowe upolitycznienie.

Dlatego bez uczucia znużenia czytamy zbiór szkiców Aleksandra Beka pt. „Ziarno stali". Mówiąc o technice, o osiągnięciach radzieckiej produkcji hutniczej, Bek pokazuje nam twórców stalowych rekordów — ludzi radzieckich, walczących o podwyższenie swych osiągnięć w przekonaniu, że służą one sprawie pokoju, sprawie wielkiego budownictwa.

Nie mniej znany od Beka A. Kułosow opisuje w swoich szkicach i opowiadaniach nową kołchoźniczą wieś, pokazuje jak pod wpływem stalinowskiego planu przeobrażenia przyrody, pod wpływem działania techniki przeobraża się umysłowość kołchoźnika. Z pracownika fizycznego staje się on pracownikiem umysłowym. Tym samym w przebiegu jego pracy, w jego życiu, w sposobie myślenia zaciera się różnica między wsią, a miastem.

Mała forma literacka staje się nieocenionym operatywnym narzędziem w dążeniach do uchwycenia i pokazania nowego, w obrazowaniu narodzin i dojrzewania nowego człowieka.

ETYKA KOMUNIZMU

„Litieraturnaja Gazieta" w nr 139 publikuje listy czytelników radzieckich, adresowane do H. Nikołajewej, W. Dobrowolskiego i L. Pantelejewa. Warto odnotować tematykę tej korespondencji, dotąd publicznie nie dyskutowanej. Redakcja w przedmowie pisze: „Rysy nowej normy wzajemnych stosunków utwierdziły się mocno w naszym radzieckim życiu, w pracy i bytowaniu radzieckich ludzi. Budowniczowie komunizmu objawiają duże zainteresowanie dla etycznych zagadnień naszej epoki, usiłują głęboko w pełni uświadomić sobie i przyswoić wielkie zasady moralnego prawa obowiązującego radzieckie społeczeństwo.

Niesłuszne, sporne lub wątpliwe rozwiązywanie etycznych zagadnień w książkach naszych pisarzy budzi natychmiast odzew czytelników. Redakcja publikuje trzy listy czytelników „Litieraturnoj gaziety", które, porównując własne doświadczenia życiowe korespondentów z niektórymi dziełami współczesnej literatury radzieckiej, podnoszą szereg poważnych etycznych zagadnień".

Pierwszy list podpisany przez studentów Moskiewskiego Uniwersytetu skierowany jest do H. Nikołajewej i nosi wymowny tytuł „Bohaterski czyn ale nie ofiara". Autorzy mają na myśli wypadek z Aloszą w głośnej powieści H. Nikołajewej „Żniwa", który tak się zapracowuje, że nie znajduje czasu na leczenie i umiera.

„Dlaczego pisarka H. Nikołajewa każe Aloszy ginąć taką niedorzeczną śmiercią? Alosza, którego czytelnik zdążył już poznać i pokochać, Alosza, przywódca komsomolskiej młodzieży, który umiał zawsze odnaleść w życiu właściwą słuszną partyjną „linię postępowania", taki Alosza w życiu nie zrobił by tego, do czego zmusza go pisarka. Kiedy Matrosow własną piersią gasi ogień wrogiego kulomiotu, to jest czyn bohaterski w imię ojczyzny, komsomołu, w imię życia tych, którzy stali za bohaterem. Ale kiedy Alosza ratuje hektar pszenicy i sam przez to ginie, spóźniając się o godzinę do lekarza—to jest ofiara bez sensu i bez pożytku.

Podobne wypadki bywają w życiu: są ludzie, którzy przekonali siebie, że nie mają czasu na leczenie, na miłość, na kino. Tacy ludzie myślą, że na tym zyskuje sprawa. Pisarz powinien dać bolszewicką ocenę niesłusznych zapatrywań, powinien osądzić nikomu niepotrzebne ofiarnictwo i pokazać jak zasadniczo różni się ono od bohaterskiego czynu".

Autorzy listu nadmieniają, że sprawa Aloszy była dyskutowana w moskiewskich kołach studenckich, a więc list wyraża zapatrywania młodzieży.

Następny list nosi tytuł „Kolektyw a rodzina" i porusza bardzo żywotne zagadnienie moralności w sferze stosunków między mężczyzną a kobietą. Czytelnik radziecki jest zdania, że temat ten powinien być często podejmowany przez pisarzy, a głównym czynnikiem normującym wspomniane stosunki, wychowującym w duchu komunistycznym, powinien być kolektyw. Tego autor listu żąda od pisarza W. Dobrowolskiego, twórcy powieści „Zenia Masłowa" i tego właśnie nie znajduje. Tymczasem W. Dobrowolski przedstawia sytuację „z życia". Tak przynajmniej działo się w środowisku, z którego czytelnik radziecki wystosował swój list. „Znałem studentkę z nauczycielskiego instytutu" — zaczyna swą opowieść autor listu. Dule, okazuje się, że studentka wyszła za mąż i po zamążpojściu zarzuciła naukę a od męża żądała materialnych wygód. Gdy mąż usiłował sprowadzić ją na drogę nauki, studentka porzuciła męża dla korzyści materialnych. Oczywiście mówi autor listu — jest to objaw burżuazyjny. Jak w tym wypadku zachowało się najbliższe otoczenie tego nieudanego małżeństwa, przyjaciele, kolektyw koleżeński? Obojętnie. „Nasze społeczne organizacje — nie biurokratyczne urzędy, lecz kolektywy — pisze korespondent — obowiązane są kierować życiem swych członków. W instytucie nauczycielskim o tym zapomniano. Ale zapominają o tym i niektórzy pisarze.

Niekiedy w dziełach literackich podnoszone są zagadnienia moralności w gronie rodziny, zdawałoby się, że pisarze powołani są po to, by umacniać znaczenie aktywnego oddziaływania kolektywu na osobiste życie towarzyszy. Dobrowolski jednak izoluje prywatne życie swej bohaterki od wpływu środowiska. Towarzysze Zeni wiedzą, jak trudne i ciężkie chwile przeżywa Zenia po rozwodzie z mężem, lecz nie przychodzą jej z pomocą. Pisarz odmalowuje otoczenie Zeni dodatnio, tym samym jak gdyby sankcjonuje obojętność kolektywu dla przeżyć bohaterki, co może doprowadzić do zupełnego upadku człowieka, jak to widać choćby na przykładzie ze studentką w naszym mieście, o czym pisałem na wstępie".

Czytelnik radziecki uważa, że za moralność jednostki odpowiedzialny jest kolektyw.

Wreszcie trzeci z kolei list dotyczy zagadnień młodzieżowych. Czytelnik radziecki na przykładzie opowiadania L. Pantelejewa wykazuje niesłuszność myśli o pozaklasowym pojmowaniu moralnych zobowiązań. Tylko takie zobowiązania należy ocenić i honorować — utrzymuje autor listu — które wypływają z potrzeb kolektywu.

Omawiane głosy czytelników radzieckich są ciekawe i znamienne. Świadczą one o tym, że radziecka społeczność szuka w książkach nowego człowieka i czujnie bada, w jaki sposób rozwiązuje on zagadnienia etyki komunistycznej.

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

WOJCIECH DRYGAS

„Fabrykanci"

Wełna — nawet popularna „trzydziestka" — stała się niechodliwa, bo zasłoniło ją żelazo obręczowe; żelazo również — bo stłoczono na nim skrzynki ze smarem do wozów; smar był „niechodliwy" — bo pogrzebano go w stosie zgarniętych jakbądź podków. — A podkowy założono lampami naftowymi, lampy — paczkami zawierającymi zeszyty szkolne, zeszyty — szczotkami, szczotki — kortem i „cajgiem", a kort i „cajg" był zatarasowany dwoma beczkami nafty. Owszem wylaniały się zachęcająco worki z mąką i cukrem, ale miażdżone olbrzymimi skrzyniami. Na widocznym i dostępnym miejscu figurowały tylko paski nylonowe, po 40 zł sztuka, sklepowa Wierzbiakowa oraz plakat. „Upłynniając remanenty — powiększasz dochód narodowy".

Sklepowa Wierzbiakowa była najlepiej widoczna, bo przez cały dzień wyglądała przez okno i ziewała. Ale nikt jej nie zamierzał kupować.

Natomiast komitet sklepowy (Fratczakowa, Kasprzaczka i Niesiułek) wpadał raz na miesiąc z pretensjami do sklepowej.

— Jak tam idzie pani Wierzbiakowa? Jest co dzielić? Chłopi się skarżą...

— Dzielić to może i jest — odpowiadała leniwie. — Ale przyjdźcie z kilofami, albo z bormaszyną, bo bez tunelu do towaru się nie dostaniecie.

— Towar powinien być na półkach — orzekał nieśmiało Niesiułek. Sklepowa czerwieniała na twarzy.

— A kto rozdzieli? — Dlaczego nie przychodzicie dzielić towaru?

Komitet przyjmował wtedy jednomyślnie wniosek Niesiułka, aby ten poważny — jego zdaniem — obowiązek odłożyć do najbliższej niedzieli. Będzie więcej czasu.

Tym sposobem od niedzieli do niedzieli nikt towarów nie dzielił. Komitet — w zależności od okoliczności — zwalał winę na gminną spółdzielnię, na PZGS, na Centralę Rolniczą.

Któregoś dnia Wierzbiakowa jak zwykle otwierała rano sklep a tu drzwi zatarasowane. Przybiegł komitet członkowski, mocują się w czwórkę — drzwi ani drgną.

Zbiegła się cała gromada. Co robić? Któryś z chłopów zaproponował włamać się przez okno. Sklepowa nie dała tknąć nawet okiennicy. Wobec tego inny wlazł na dach i zajrzał do dymnika.

— Nic nie widać! — krzyknął. — Niech ktoś z komitetu spróbuje spuścić się po linie. Wszyscy spojrzeli na Niesiułka. Ale Niesiułek zaraz otoczył się papierkami, podkładkami, paragrafami, pieczęciami i wszelkimi znakami na niebie i ziemi, utrzymując, że to nie on ponosi odpowiedzialność, tylko ktoś inny, więc niech ten inny tam się spuszcza.

— Kto taki? — zapytano.

Niesiułek sięgnął jedną ręką do paragrafów, drugą wskazał na gminę, powiat i województwo, ale w tym momencie sołtys Wincenciak nie wytrzymał i pociągnął okiennicę. Załomotało coś straszliwie i sklepowa Wierzbiakowa oraz członkowie komitetu zniknęli z powierzchni ziemi. Z rozbitego okna wysypała się na nich cała fabryka remanentów.

Najpierw wyleciały ciężkie worki z mąką i cukrem, po tym paczki z zeszytami szkolnymi i lampy naftowe, a za nimi podkowy, skrzynki ze smarem do wozów, żelazo obręczowe, kort, cajg i popularne wełenki. W sklepie pozostały tylko paski nylonowe po 40 zł sztuka oraz utrzymał się na starym miejscu znany nam już afisz o upłynnianiu remanentów.

Okazało się, że góra nagromadzanych od miesięcy artykułów przemysłowych poddała się ciążeniu kuli ziemskiej, niestety, pod nieobecność sklepowej Wierzbiakowej, co wśród powszechnej radości obudziło jedyny w tym dniu żal zebranych.

Liczono, mierzono, ważono, segregowano, wyceniano. Zaczęły się zapełniać półki. Znalazło się wiele bel z popularnymi materiałami wełnianymi, wysypały się jak z rogu obfitości wiadra cynkowe i naczynia kuchenne, żelazo, poszukiwane przez dzieci zeszyty szkolne, artykuły dziewiarskie itp. — wieś zrozumiała teraz, co to jest remanent.

Wobec czego z upłynnieniem remanentu nie było już wiele kłopotu. Sprawiedliwy rozdział gwarantował chłopom nowy komitet członkowski — ludzie uczciwi i chętni do pracy społecznej.

Tak to zlikwidowano w Sokółce „fabrykę remanentów".

Zaś za twórcami fabryki — starym komitetem członkowskim i sklepową Wierzbiakową — wlecze się teraz jak cień, śmieszne przezwisko — „fabrykanci".

Wojciech Drygas

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Uwaga na Kadziszewskich!

Początkowo trudno było odgadnąć istotne przyczyny entuzjazmu pracy ob. Kadziszewskiego, kierownika grupy producentów w gromadzie Jaworów Stary, gm. Słotwina, pow. Świdnica. Jak akcja akcją takiego kierownika jeszcze nie było! Sam po chałupach od rana do wieczora biegał i tak skutecznie agitował, że najbardziej oporni decydowali się na kontraktowanie. Nic to, że właścicielom macior zapomniał ob. Kadziszewski powiedzieć o uldze w podatku gruntowym, drobiazg, że mogą otrzymać kredyt w wysokości 800 zł. i wpiszą cenę za odsprzedane tuczniki. W atmosferze jego podniosłych wezwań do „chłopów patriotów i obywateli", sprawy korzyści wypływających z listopadowej uchwały Prezydium Rządu — stawały się nieważne, zażenowani chłopi wstydzili się o nich mówić. Na to właśnie ob. Kadziszewski liczył, tu bije źródło jego „entuzjastycznej pracy".

Bez reszty odkrył je dopiero robotnik PGR tow. Zawodny. Ten od początku nie miał przekonania do gorliwości kierownika grupy. Kiedy ob. Kadziszewski „zaagitował", zgodził się na zakontraktowanie 4 prosiąt, nie wyrzekł ani słowa, gdy nie otrzymał umowy. Odezwał się dopiero na gromadzkim zebraniu. I cóż — wyszło na jaw, że dzielny kierownik grupy tak dalece pragnął chłopom ułatwić życie, że na swoje nazwisko wypisywał niektóre umowy, sam też wykorzystywał udogodnienia przysługujące dostawcom. Po co mają chłopy latać za premiami i pożyczkami, czas tracić? Sam ten trud wziął na siebie. Ale winy, której— rzecz dowiedziona — na siebie wziąć nie chciał. Co gorsze, nie chce uznać jego winy GS i nadal trzyma ob. Kadziszewskiego na stanowisku kierownika. Ręka rękę myje, noga — nogę wspiera. GS w Słotwinach nie opracowała nawet rocznego planu skupu trzody, a jedyny dowód jej zainteresowania dla spraw kontraktacji, to postrzępiony kawałek afisza propagandowego. I — dodajmy domyślnie — pewne korzyści płynące z „entuzjazmu pracy" ob. Kadziszewskiego.

Myślimy, że trzeba by już z taką kontraktacją skończyć i zawezwać kolegów korespondentów do pilnego baczenia. Kadziszewscy znajdą się jeszcze tu i ówdzie.

Jerzy Smutny.

Remanent w Brzesku

Co ujawnił remanent w PZGS w Brzesku (krakowskie)? A no istne bogactwo różnego rodzaju artykułów, których mieszkańcy miasteczka i okolicznych gmin, w sąsiednich powiatach musieli szukać. Jeździli do Tarnowa lub nawet Krakowa po żarówki i na składzie w Brzesku pozostało ich 5 tys. sztuk. Młodzież zapomniała, jak wyglądają kredki szkolne, a remanent (nieszczęsny remanent) ujawnił 3.014 tuzinów. Palacze w Brzesku mają żółte palce od papierosów, bo PZGS nie przydzielił sklepom 749 kartonów szklanych cygarniczek. Połowie ludzi w tamtych stronach odpadają— jak słychać, zelówki — a na składzie leży bezczynnie 3 tony szewskich kołek. Nie mówimy już o masie rozmaitego rodzaju guzików czy szczoteczek do rąk.

Nie na tym koniec z remanentem w Brzesku, znajdziecie tam 900 szt. lampek kieszonkowych bez... żarówek i 530 lamp naftowych, których także nie można sprzedać, ponieważ wszystkim brak... obsadki. A zdałyby się bardzo nie zelektryfikowanym gromadom.

I na tym nie koniec. PZGS chciałby na poczet zasług policzyć sobie chęć sprzedania pewnych artykułów, którym nic nie brakuje. Są to leżące od dwóch lat lampy radiowe (poszukiwane w dużych miastach) do odbiorników, jakich w okolicy nie znajdziesz. Są to instrumenty muzyczne — jak tzw. krzydłówki i flety, na których miejscowi muzycy nie grywają. Jest także i dwa tysiące wideł do załadowywania ziemniaków, cóż kiedy do rozprowadzania ich zabrano się w... grudniu.

Czy zatem nie można przypisać PZGS-owi z Brzeska żadnej absolutnie zasługi? Owszem, można. Ostatecznie, gdyby nie jego sławna działalność, rynek handlowy miasta i okolicy byłby znacznie lepiej zaopatrzony. Podziemie gospodarcze straciłoby podstawy istnienia, osłabłaby plotka wyolbrzymiająca nasze trudności rynkowe. A, że tak się nie stało — czyjaż to zasługa, jeżeli nie PZGS-u?

Jan Biegała

Taki sołtys?

Powtórzę wam tu użalenie na sołtysa w Kleczy. Jest to skarga biednego chłopa. Ojcowie jego mieli 11-cioro dzieci a ziemi ani skrawka. On sam od 9 roku życia chodził po służbach. **„I dzisiaj, kiedy mam polepszone życie, to mi je sołtys zatruwa".** Chłopina mieszka pod lasem w ruderze. Był tam kawałek wolnej ziemi. Wyprosił ją w dzierżawę u sołtysa, wzamian oddając mu swoją łąkę. Tej jesieni sołtys przyjechał i zasiał dla siebie wyrobione i zorane pole. A latem... siostrze chłopiny nie chciał za pieniądze zwieść pszenicy i wymłócić. Siostra ma pięcioro drobnych dzieci, męża w kopalni. Wreszcie, jakby dla żartu, czy pognębienia zwiózł i wymłócił połowę. Spieszył się młócić „od ręki" tym, którzy nie chodzą do „państwowej pracy". I nie wymłócił reszty mimo próśb i lamentów.

Jest we wsi taki dom, którego używa się tylko latem. Chłopina pojechał do Rady Gminnej prosić, aby mu wolno było przenieść się tam na zimę ze względu na zdrowie dziecka. Powiedzieli — pisz podanie. Napisał, ale sołtys nie podpisał, bo sam chce ów dom objąć dla córki, która „poszła do gminy pisać".

Oto jak „użalenie" jednego człowieka rzucić może wielki cień... na władzę. Wioskowy kacyk z tego sołtysa. Siedzi na młocarni i z tej wysokości nie dostrzega plonów małorolnych. Ale widzi, jak tyrają na zagonie pod lasem, jak myślą zamienić ruderę na dom mieszkalny. Wtedy jak jastrząb, spada na pole, na dom i pewnie te „rekwirunki" nazywa urzędowaniem.

„Dzisiaj, kiedy mam polepszone życie, to mi je sołtys zatruwa... powinniśmy, biedni, wybrać sołtysa z rozumem i sercem". Wszędzie takich wybierajcie, aby polepszone życie wciąż polepszać!

Kazimierz Peloch

Jeszcze mocniej

Dostałam się na czarną listę. Strasznie mnie to bolało, bo dlaczego moje nazwisko ma stać tam, gdzie stoi wróg? Było to jeszcze w listopadzie. Zboże sprzedaliśmy już dawno z nadwyżką (12 m i 80 kg), pożyczkę narodową też daliśmy, z podatkiem tylko było jeszcze nie w porządku — a na listę mego męża już podali. Kto on, kułak? 5 ha i 6 na. W naszym Morzęcinie Wielkim ziemia jest ciężka i od 5 ha nie ma nikt mniej, ale powyżej 8 ha też nikt nie ma. Inna u nas inszość. Gromada podzieliła się na dwa obozy. Połowa zapisała się do spółdzielni produkcyjnej, połowa indywidualnych. Na zebraniach słyszy się różne ugryzki i ubliżania dla tych, co chcą spółdzielni. Tym się nie przejmujemy, jeszcze ich przekonamy. Ale i z gminy spadły na nas przykrości. Na przykład gospodarstwa Lignarskiego i Ptasińskiego przylegają do siebie, ziemia jednakowa, ale Ptasiński (zapisał się do spółdzielni) to miał sprzedać 20 m, a Lignarski 7 m. Podatek też w odpowiedniej pewnie proporcji. Gajewski, Wróbel i Bielak mają działki tuż obok siebie, ale Wróbel (chce spółdzielni) wyższy dostał plan.

Powstało w naszych głowach zamieszanie. Bo chcieliśmy przebudowy ustroju, a znowu indywidualni z kłótniami do nas. Bo nam większy wyznaczono plan skupu i podatku, a znowu indywidualni gotowi byli jeszcze 50 proc. więcej podatku zapłacić — tak gadali — byle do spółdzielni nie przystąpić. Nam krzywda, im śmiech. Do onych z uznaniem a z naszych poniektórzy na czarnej liście. Ale choć się najpierw trochę spółdzielców zbuntowało — kiedyśmy wszystko wypełnili — jeszcze mocniej teraz stoimy za spółdzielnią.

Katarzyna Przodo

JACEK WĄCHAŁA

LAMENT KUŁAKA

Odgrodził się od świata
wysokim „chińskim" murem
Walenty Zygma, kułak
zachłanny i ponury.

On nierad słucha drugich,
ani nie czyta gazet.
Jak już — to z kułakami
dyskutuje razem.

Że źle i bieda gniecie,
choć piętrzy się w komorze
zebrane z licznych morgów
w pękatych worach zboże.

Dla niego FOR to krzywda
albo i ta pożyczka.
Trzeba by sprzedać wieprza
i łaciatego byczka.

Gromadą „bieda" trzęsie,
do szkół się pcha i wszędzie.
Powiedzcie, kumotrowie,
co z nami dalej będzie?

Oj, byłoż ci to dobrze,
kiedy rządziły pany.
Nikomu się po głowach
nie śniły jakieś plany.

Człek sobie żył dostatnio,
Powiedzcie, nie mam racji?
Nie było odstawy mleka
i tej tam kontraktacji.

Parobka człek popędzał
jak trzeba było biczem.
A dziś? Ech, szkoda gadać!
Kułak pozostał niczym.

Każdy ci palcem wytknie
bogactwo, brzuch opasły.
Hej, wróć nam miły Boże
dawne i dobre czasy.

Tak to za „chińskim" murem
lament trwa nieustanny.
Płacze Walenty Zygma
ponury i zachłanny.

A w kraju rosną miasta,
kopalnie, nowe huty.
Lecz tego nie chce widzieć
kułak ze czci wyzuty.

Zapłacisz FOR, podatek,
i oddasz państwu zboże.
I nawet twój mur „chiński"
nic ci dziś nie pomoże!

TADEUSZ SZEWERA

KLIN KLINEM!

W CZERWCU 1949 roku, podpisało statut Zrzeszenia Uprawy Ziemi dziewięciu w Kolonii Gałkówek. Ale gruntami rozstawieni byli po całej wsi od Sasa do lasa. Właśnie zaraz na straju lasu leżały pola dwóch spółdzielców, potem miedzami oddzielone szły zagony trzech średniaków, dalej znowu pole jednego spółdzielcy, pięciu średniaków, trzech spółdzielców, pięciu małorolnych i jednego średniaka, znowu dwóch spółdzielców itd.

O rozpoczęciu więc wspólnych prac i jakimś ułożeniu wspólnego płodozmianu nie mogło być mowy. Ale od czego agitacja? I trzeba przyznać, dała rezultaty. Podpisało statut nowych dziewięciu mało oraz średniorolnych.

Teraz uroczyście zarejestrowano spółdzielnię, a zbliżała się akurat pora siewów jesiennych. Ale cóż, kiedy się okazało, że kłopot z „klinami" średniackich gospodarstw, który tak wiele trudności nastręczył 9-ciu założycielom, spadł teraz na barki 18 spółdzielców. Powiększenie bowiem kolektywu dało nowe kliny a żaden z „klinowców" do spółdzielni nie chciał przystąpić.

Zbierali się spółdzielcy na narady, zwoływał międzypartyjne zebrania sekretarz Koła PZPR Nawrocki z ZSL-u Sokołowski, urządzano zebrania ogólno - gromadzkie. Ale nie wiele przynosiły. To niespodziewanie spod ławki wyskakiwał Franciszek Kaczmarek i powiadając przekornie, że „już mówiły jaskółki, iż nie dobre są spółki", opuszczał salę wraz z innymi średniakami. To znowu Bloch Stanisław „rzeczowo" wyjaśniał, że on nie widzi przeszkody dla spółdzielni w tym, że jego gospodarstwo oddziela Kuletę od Wawrzonka. „Ja im w zespołowej gospodarce nie przeszkadzam". — To znów pod oknami świetlicy, w której obradowali spółdzielcy, pojawiał się „mocny średniak" Dawid Kobus i na cały głos, żeby go słyszano, wyśpiewywał:

„Hej, hej spółdzielce, na nic
wasze twory
Ziemia w Gałkówku podmokła,
ugrzęzną wom traktory! Hej!"

Kąpany w gorącej wodzie Wawrzonek nazwał Kobusa kułakiem a jego śpiewkę — wrogą propagandą. Alfons Sokołowski był jednak innego zdania. „Hej, Wawrzonek, Kobus może nie z serca, ale dobrze śpiewa, że też wcześniej nie pomyśleliśmy o tym"...

Od tej Kobusa „podmokłej ziemi" zaczęli też spółdzielcy trudną walkę z „klinami" średniaków.

Bo grunta w Kolonii Gałkówek, ze względu na położenie w dolince między lasami, były istotnie podmokłe. Wymagały melioracji. Tę właśnie sprawę postawił Sokołowski na zebraniu, na które zaproszono także dziewięciu średniorolnych „kliniarzy". Melioracja grunty osuszy i będzie można stosować właściwe płodozmiany. By móc jednak meliorować grunta, trzeba było miejscami założyć dreny również na polach indywidualnych.

Dotychczasowy „rozbijacz" zebrań, Kaczmarek, siedział tego wieczoru cicho, wreszcie rzekł: „Drenujcie! Ale przy płodozmianie nie zapomnijcie o mnie."

Zdrenowano na początek pola najbardziej podmokłe.

Już po pierwszych pracach drenarskich płodozmian obgadywało 17 średniaków. Rej wodził ówże Kaczmarek. Układał trój i pięciopolówkę, jakby był spółdzielcą. Więc mu powiedziano — podpisz statut! „A juści, nic nie będę podpisywał. W płodozmianie przecie się nie sprzeciwiam". —

Choć Kaczmarek jeszcze nie chciał, szesnastu nowych średniaków statut podpisało. Praca w spółdzielni ruszyła, można było siać już zboże. Ale przy 36 spółdzielcach pokazały się nowe kliny, choć bardziej na skraju wsi. Za polami dziesięciu spółdzielców miał swój zagon średniak Dobrowolski, za nim pięciu spółdzielców i niespółdzielca Kaczmarek, biorący udział we wspólnym płodozmianie, dalej Świderek Szczepan ze swą gospodarką indywidualną, znowu pięciu spółdzielców, dalej Brot Paweł i Stanisław Pawlak średniacy, potem spółdzielcy i td.

Kliniarze już przed żniwami zauważyli, że Kaczmarek na tym spółdzielczym płodozmianie nie wyszedł źle. Zboże zasiał kwalifikowane — kupno ułatwili mu członkowie kolektywu — dreny osuszały mu pole i żyto nie wymokło tak, jak na przykład u Świderka. A plony?... Tu już nie było porównań. Kaczmarek chwalił się po wsi mówiąc — „Takie wysokie plony mogę mieć tylko: ja i... spółdzielcy!" —

Wreszcie wiosną 1951 roku kliniarze zmienili front. Nicota Adam, Bloch Stanisław — ten sam, co to lojalnie nie przeszkadzał dotychczas w układaniu płodozmianu, ale nie chciał się weń włączyć — podpisali statut. A Dobrowolski, Świderek, Pawlak i inni po namyśle oświadczyli, że i oni mogą popróbować płodozmianu.

Brot się oburzył. — Co tu próbować! Zaorywać granice, żeby się osy nie lęgły i już!

Istotnie, granice zaorano u tych niespółdzielców, którzy zgadzali się na wspólny płodozmian. Łatwiej go teraz układać, lepiej spółdzielcom stosować mechaniczną uprawę, mogą traktory wjechać i szerokie siewniki. A plony są znów wyższe niż w roku minionym.

Lecz nie same plony są największym sukcesem spółdzielców z Gałkówka. Nie jest także sukcesem dniówka obrachunkowa, która osiągnęła narazie 20 złotych, podczas gdy w Konarach 40 złotych. Sukces gałkowskich spółdzielców polega na politycznym umocnieniu kolektywu. Jest dziś 36 członków, a 7 średniaków włączyło się już do wspólnego płodozmianu i zezwoliło na zaoranie miedz.

Cała gromada liczy 54 gospodarstw. Ostatnie więc 11 gospodarstw wchodzi z kolei „klinami" w pola spółdzielcze.

Ale klin klinem! I nie będzie wreszcie już w Gałkówku żadnego kina. Nawet w osobie Kaczmarka.

T. Szewera

TADEUSZ ALEKSANDER JASIŃSKI

Nie ma sklepów — nie ma remanentów

BYŁEM ostatnio w gminie Nowe, pow. Świecie n/W. Prywatne sklepy zlikwidowały się w pierwszych latach po wyzwoleniu, Chłopi bynajmniej nie martwią się upadkiem sklepikarzy, ale martwią się tym, że GS w Nowem nie otwiera prawie wcale nowych sklepów spółdzielczych.

Przed wojną w Półwsi były dwa sklepy spożywcze, w Dąbrówce 1, Pieniążkowie 2, w Kolonii Ostrowickiej spożywcze i mięsne, 2 tekstylne i 2 piekarnie ze sklepami pieczywa i wozami rozwożącymi pieczywo.

Obecnie na te wsie jest aż... jeden maleńki sklep w Kolonii Ostrowickiej. Jest to filia GS w Nowem.

Żadna z obu piekarń w Kolonii Ostrowickiej nie jest czynna, a żony robotników i urzędników chodzą po chleb do oddalonego o 9 km Nowego lub 5 km. do Czerwińska i Smętowa.

Pracownicy GS-u w zaufaniu opowiadają, że towarów spółdzielnia może otrzymać z hurtowni, ile chce, tylko... nie ma pieniędzy na ich zakupienie. Dlaczego? Bo utopiła pieniądze w złej gospodarce resztówki, a którą na szczęście ma obecnie przejąć PGR w Milewsku.

„Co się stało, to nieodstanie", a błąd polityczny wielkiej wagi dokonany i dostarczona woda na młyn plotkarzy i panikarzy.

A prezcież chłopi nie chcą stodół i swoich zagród podpierać kołkami, ale deskę chcą przybić gwoździami i to nie gwoździami najdłuższych rozmiarów — można to zrobić dwu lub trzycalowymi, bo chłopi mają większe poczucie oszczędności i przydatności niż GS w Nowem.

Chłopi chcą pokrywać dachy papą, a nie „Gazetą Pomorską", która drukuje wiadomości swojego korespondenta o przodowaniu Półwsi w produkcji lnu, podczas gdy mało kto zna tu tę roślinę, a nie zbiera z tego zaniedbanego terenu wiadomości prawdziwych i za mało demaskuje braki.

Dowodem nieudolności pracy GS jest chociażby to, że w graniczącym powiecie tczewskim, woj. gdańskiego Spółdzielnie w Rakowcu i Opaleniu są przepełnione wszelkiego rodzaju towarami. Mieszkańcy zaniedbanej gminy Nowe jeżdżą aż tam kłaniać na czym świat stoi, aby się zaopatrzyć w artykuły pierwszej potrzeby.

Źle, moim skromnym zdaniem, planuje swoją pracę Dom Towarowy w Nowem, który w ostatnim kwartale ub. r. podczas dnia nic prawie „nie posiada" z towarów, a o godz. 17, gdy chłopi rozjadą się do domów, sprzedaje np. pończochy nawet po pięć par na osobę — aby spekulanci robiąc wielką łaskę, po paskarskich cenach i za tłuszcze pod punktem skupu (jajka i masło) odsprzedali je nazajutrz niemającym wyboru chłopom.

Chłopi powiadają, że jeżeli źle pracuje chociażby jedna gminna spółdzielnia, to źle chyba pracuje PZGS w Świeciu n/W, jeżeli źle gospodarzy na swoim terenie Gminna Rada Narodowa, to jak pracuje Powiatowa Rada Narodowa?

Wniosek z powyższego jest prosty. Po ostatnich wyborach w ZSCh trzeba aby GS i GRN w Nowem pomyślały o założeniu w każdej z wymienionych wsi sklepów — zaopatrzonych w najbardziej potrzebne towary.

Tadeusz A. Jasiński

MARIA OSTRAWICKA

Wyjaśnienie

W n-rze 51 „Wsi" z dnia 23.XII. 51 r. zamieszczona była recenzja pt. „Historyczna powieść o wsi" pióra Heleny Zaworskiej omawiająca książkę Marii Wardasówny pt. „Wyłom". Recenzja nie wywołuje żadnego zastrzeżenia, lecz wymaga pewnego wyjaśnienia, jakie może dać tylko osoba, znająca dawny Śląsk Cieszyński. Pochodzę z pogranicza znad brzegu Ostrawicy i jestem zapewne o ćwierć wieku starsza od autorki „Wyłomu", więc należy mi się odezwać w jej sprawie. Wydawnictwo popełniło błąd, nie zaznaczywszy, że „Wyłom" jest zaledwie trzecią częścią opowiadań o Śląsku i że drugi tom już ma autorka do druku przygotowany.

Recenzja Heleny Zaworskiej jest rzeczowa, fachowa i dla autorki zaszczytna, wymagają jednak pewnego omówienia orzeczenia takie, jak: „Nie dowierzamy jednak autorce, czy naprawdę sytuacja społeczna na wsi śląskiej w końcu XIX wieku wytworzyła tylko tak ograniczone przejawy „oporu" wobec wyzysku, jak wyciąganie gospodarskich śliwek itp." — albo „Stawiając sprawę podziału klasowego autorka nie potrafi dopowiedzieć jej do końca itd." Dalej pisze znów recenzentka: „Ukazując więc wyzysk klasowy na wsi, nie widzi Wardasówna perspektywy walki klasowej. Ludzie wyzyskiwani są ludźmi nieszczęśliwymi, autorka budzi w czytelniku współczucie dla pokrzywdzonych, ale na tym w pierwszej partii swej książki kończy. Nie widzi na wsi sił, które mogłyby zorganizować walkę przeciw staremu porządkowi społecznemu" itd.

Byłyby to słuszne zarzuty, gdyby nie to, że „Wyłom" jest tylko częścią historycznej powieści o wsi śląskiej, a obejmuje dzieje od roku 1880 do niespełna r. 1890 i że silniejsze przejawy oporu, czy nawet wyraźnej walki narodowościowej i klasowej wystąpiły na śląskiej wsi w pobliżu Skoczowa, dopiero po roku 1890 (w pobliżu Ostrawy i Frydka wcześniej).

Nic więc dziwnego, iż recenzentka pisze, że ci, którzy mają dokonać rewolucyjnego przełomu na wsi, mają więcej cech apostolstwa idei, niż rewolucyjności agitatora — tak bowiem rzeczywiście było w latach, które Wardasówna w „Wyłomie" opisuje.

Maria Ostrawicka

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12. tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6942/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-11042